

LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 16—590.

Redakcja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 22 kwietnia 1887 r.

10 kwietnia 1887 r.

Tom XXIII.



Pierwsze kry.

Rysował F. Brzozowski.

## RAPTULARZ TYGODNIOWY.

**Kwestya**, czy ś. p. Kraszewski obowiązany był wrócić do Magdeburga po upływie urlopu; kwestya, z której mu robią zarzut niektóre (ale tylko niektóre) pisma niemieckie, rozstrzyga ostatecznie i stanowczo list, pisany przez nieboszczyka do Ludwika Jenikego, datowany 19 kwietnia 1886 r., z San-Remo:

*„Na zapytanie twoje odpowiadam (ale tibi soli i poufnie tylko), że wczoraj wyszła moja prośba do cesarza, poparta świadectwem dwóch lekarzy niemców, prusaków, która najmniejszej nie pozostawia wątpliwości, że powrót do Magdeburga byłby wyrokiem śmierci. Mówię to najdobitniej.*

**„O żadnym słowie daném mowy niema. Kazano mi tylko się podpisać, że w razie gdybym się nie stawił na 15-ty maja, kaucya przepada bez procesu, sama z siebie.**

*„Nie pierwszy to przykład, ale jeszcze się spodziewać można, że cesarz laskawiej tę rzecz rozwiąże, bo strata kaucyi dla mnie, po stracie olbrzymiej, jaką już poniósłem, byłaby bardzo dotkliwą.”*

Jak wiemy, łudził się Kraszewski; chciwość niemiecka z góry pogodziła się z myślą, że męczennik bezpowrotnie wyrwie się jój z pod obucha — ale z utratą 20,000 marek, które raz w ręce dostała, pogodzić się nie mogła. Ze niemcy tak praktycznie zapatrywali się na kwestya urlopu dowód zresztą w tém, że za życia Kraszewskiego żadne z pism niemieckich nie wystąpiło przeciw niemu z zarzutami z tego tytułu.

**Nabożeństwo.** W dniu 18 b. m., jako w dniu pogrzebu ś. p. Kraszewskiego w Krakowie, o godzinie 11-tój zrana, w kościele św. Józefa Oblubieńca (po Karmelickim), odbyło się żałobne nabożeństwo za duszę nieboszczyka, urządzone przez drukarzy warszawskich. Drukarze podwójnie mieli prawo i obowiązek do tego żałobnego obchodu; naprzód, że Kraszewski ich pomocy przedewszystkiém potrzebował do rozpowszechnienia mnogich dzieł swoich, a oni nawzajem z płodności jego korzystali; powtóre, że nieboszczyk był także przez pewien czas właścicielem drukarni, a zatem poniekąd do ich cechu należał. O obowiązku ludzkim i obywatelskim nie mówimy — ten wspólny jest nam wszystkim.

W głównej nawie kościoła wznosił się katafalk, wśród światel i bogatj zieleń. Na stosownym postumencie umieszczono portret nieboszczyka, arcydzieło sztuki drukarskiej, z samych czcionek (punktów) złożony, kopia tego, który w roku jubileuszowym drukarze warszawscy Kraszewskiemu ofiarowali. Trumnę otaczał zastęp drukarzy wszelkich stopni, począwszy od właścicieli drukarni aż do chłopców używanych w drukarniach do posługi.

Nabożeństwo rozpoczęło się punkt o 11-tój; celebrował ksiądz Józef Dębowski w asystencji sześciu alumnów. Na chórze, artyści i amatorowie wykonali pod dyrekcją p. Deutschmana mszę Moniuszki, a pod koniec marsz żałobny Nideckiego. Kościół był przepelniony.

**Olbrzymi biust Kraszewskiego**, który wykonany pospiesznie figurował na nabożeństwie żałobnym u Św. Krzyża, został obecnie przez twórcę swego, p. Sławomira Celińskiego, wykończony, tak, iż stanowi obecnie skończone dzieło sztuki. P. Celiński zamierzał odlew biustu gipsowy posłać w darze zbiorom uniwersytetu Jagiellońskiego, ale ze względu na wielkie koszta transportu tak dużego odlewu, musiał zamiaru tego zaniechać. Spodziewać się należy, że podobizna ta stanie się ozdobą którejś z tutejszych instytucyj.

**„Nowa Pressa”** wiedeńska dała o Kraszewskim sympatycznie napisany fejlleton, pióra Wilhelma Goldbauma. Dziennik ten, zresztą polakożerczy, pomieścił był przed kilku laty naumyślnie dla siebie napisaną powieść Kraszewskiego „Głowa i Serce”.

**W Bukareszcie** odprawione zostało w d. 31-ym z. m. nabożeństwo żałobne za spokój duszy ś. p. J. I. Kraszewskiego. Obszerna katedra katolicka, pod wezwaniem św. Józefa zaledwie mogła pomieścić tłumy różnorodnej publiczności. Kościół przyozdobiony był wspaniałe kwiatami i rzesisto oświetlony. Podczas nabożeństwa asystował cały kler miejscowy, a na chórze śpiewał Mierzwiński.

**W Meranie** odprawioném zostało w d. 2-im b. m. nabożeństwo żałobne za ś. p. J. I. Kraszewskiego, przy bardzo licznym udziale bawiących tamże polaków. Inicytywę do urządzenia nabożeństwa dał malarz z Warszawy p. G. i pani W. z Galicyi.

**Prezes Towarzystwa osad rolnych**, p. Karol Machczyński, zrzekł się honorowego urzędu i pomimo usilnych prośb dalej na tém ważnym stanowisku nie pozostaje. Powodem uwolnienia jest brak zdrowia; w powód ten wierzymy, ponieważ go podaje obywatel, który na czteroletniém swém prezesostwie składał nieustanne dowody umiłowania społeczeństwa, chcąc mu z młodzieży zepsutej przysposobić ludzi pożytecznych. Tacy pracownicy jak szanowny prezes służą dopóki tylko mogą, a jeśli w końcu powiedzą — nie możemy, trzeba im wierzyć. Prezes Machczyński trafił w Osadach rolnych na epokę reform w wewnętrznym zarządzie; musiał stoczyć niejedną walkę, musiał zdobywać się na nadzwyczajną energią aby złemu kres położyć, oficyalistów niegodnych zaufania usunąć, nowych nadużyć nie dopuścić i z Osad rolnych uczynić istotnie dom poprawy i kary zamiast przytułku, w którym przesadzonemi wygodami prawie nagradzano chłopców za ich występki. Dużo przykrości doznał sz. prezes od przedostatniego dyrektora Osad w Studzińcu, którego sam wybrał i najsromotniej na nim się zawiodł. Zrobił dużo, pragnął zrobić więcej ale brzemie pracy było ciężkie.

**Ucziwy.** Rodak nasz p. Jaśkiewicz, szczęśliwy przemysłowiec, dorobił się w Mannheimie na jądłodajni dużego majątku; porzuciwszy kuchnię jał się wyrabiania piwa w własnym browarze, kupionym w Ludwigsharan za milion marek. Zdawałoby się, że myśl i serce człowieka, któremu wszystko pomiejdzy niemcami jak z płatka idzie, już do niemców zupełnie przylegnęło, tymczasem Jaśkiewicz pojał za żonę krakowiankę a córeczkę swą kształci w Warszawie, nie chcąc duszy dziecka zrazić obczyzną. Ucziwy!

**Zamiast dobroczynnego balu** izraelici w Odessie wszystkie pieniądze przeznaczone na stroje i przyjęcie oddali ubogim, skłonieni do tego przez miejscowego rabina d-ra Szwabacher, który potępił nowoczesną jałmużnę, obcierającą łzę ubogiego a równocześnie szerzącą zbytki i samolubstwo. Tygodnik warszawski „Izraelita” donosząc o tym czynie, godnym naśladowania, dodaje ubolewanie nad swymi spółwyznawcami bogatymi, którzy obojętnie patrzą na nędzę szerzącą się przerażająco w warszawskiej gminie izraelskiej.

**Strasznego profesora** posiada uniwersytet czeski w Pradze; jest nim głośny w tej chwili d-r Massarik, pesymista do szpiku kości, człowiek beczelny, przekupiony albo zrozpaczony. Mąż ten głosi z katedry i drukuje przepowiednie zniknięcia narodu czeskiego z powierzchni ziemi; z szatańską złością dowodzi, że czesi powinni dobrowolnie poddać się zagładzie, wyrzec się swego języka, przyjąć jaki obcy, zaprzeczyć się wiary ojczytwej, obyczajów, literatury, wyszydzić swoje odrodzenie, pogrzebać swoje nadzieje i pogruchotać bogów czeskiej, sławnej przeszłości. Przeciw nikczemnym namowom wystąpiły wprawdzie z oburzeniem niektóre dzienniki czeskie ale młodzież nie spędziła kaznodziei z katedry; pozwoliła mu ciągnąć wykłady, zgromadzała się na nie i słuchała z zajęciem. Zły to znak taka wstrzeźliwość w młodzieży; albo strupieszala ona zupełnie albo nie mając żadnych ideałów jest bezsilną wobec nagabywań. Wszędzie taki ptak złowróbnny musiałby zaraz przestać krakać, a młodzież czeska słucha go i oklaskuje. Biedni!

**Osa.** Taki tytuł dał nasz rodak, warszawianin, swemu tygodnikowi humorystycznemu, który wydaje w Nowym Yorku. Jest to pierwsze pismo humorystyczne polskie w Ame-

ryce; nie znamy jego programu, nie czytaliśmy jego dowcipów ale mamy błogą nadzieję, że służyć będzie ku rozchmurzeniu czoła uznojonego pracą i zasepionego niepowodzeniami; że gryźć będzie sercem a wyminie kałuże, z których czerpie wielu naszych dowcipnisiów. Obowiązkiem honorowym nowego redaktora jest nosić z godnością czapkę Stańczykowską, klucz jak osa ale nie zatruwać jak pasożyt.

**MIECZ I DYPLOMACYA.** Do socjalistów, nihilistów, klerykalnych i orleanów, organ kanclerza „Nord. Allg. Ztg.” przyłączył oczywiście i polaków. Wszyscy oni chcą wyrotu obecnego porządku, więc chcą wojny; a że Niemcy mają posłannictwo szpeciść różczkę oliwną, przeto wszyscy oni spiskują przeciw Niemcom i nie cofają się przed żadną zbrodnią.

**Gladstone o bilu represyjnym.** Można potępiać Gladstone'a, jako niedołęznego i niesympatycznego kierownika polityki zagranicznej, ale przyznać trzeba, że w duszy jego tkwi głęboko poczucie zarówno bezwzględnej jak dziejowej sprawiedliwości. A poczucie to nie kłamane, nie wyśrubowane sztucznie na pożytek widoków stronnictwa, bo właśnie obstawanie przy tym poczuciu pozbawiło go znacznej części jego stronnictwa. Oto słowa, jakimi ten sędziwy przywódca whigów, odzywa się w liście do „Nord Easter Daily Gazette”:

„Jeżeli Anglia ma teroryzmem karać Irlandyę za zbrodnie, które ta popełnia, w takim razie Irlandya ma prawo zauważyć, że w stosunku do cyfry jej ludności zbrodnie przytrafiają się tam rzadziej niż w Anglii. Według mojego przekonania, odrzucenie bilu potrzebniejszym jest jeszcze dla Anglii niż dla Irlandyi; dla tej ostatniej bowiem bil jest tylko kwestją cierpienia, a Irlandya nauczyła się cierpieć, podczas gdy Anglii przynosi on wstyd i hańbę. Uniknąć jej—powinno być pierwszą troską wielkiego narodu.”

**Crispi,** nowy włoski minister spraw wewnętrznych ma już rok życia sześćdziesiąty dziewiąty, pochodzi z rodziny greckiej, w r. 1848 był członkiem parlamentu palermitańskiego a w r. 1860 towarzyszem Garibaldegom i na przebieg ówczesnych wypadków wielki wpływ wywierał. Za dyktatury Garibaldegom był naprzód ministrem spraw wewnętrznych a potem zagranicznych. Później, w r. 1877, był powtórnie ministrem spraw wewnętrznych.

## NAJNOWSZE WYDAWNICTWA.

**Nowelle Stanisława Grudzińskiego.** Nakład Gebethnera i Wolffa. Treść: Zamieć zimowa, Koncert, List bezimienny, N-r 2,564, Śnieżycyca, Lala, Okno na poddaszu.—Czytelnicy Biesiady pamiętają jeszcze piękną powieść tegoż sympatycznego autora i zacnego człowieka p. t. „Na stepie i w mieście”. Dobrze się przysłużyli wydawcy literaturze, że pozbiierali drobiazgi w których poeta celował; on patrzył na świat przez okienko swoich serdecznych pragnień, swoich złotych nadziei—ludzie też jego są lepsi niż ci jakich spotyka się na drodze życia.

**Szkice i opowiadania D-ra Antoniego J. Serya** piąta. Nakład Gebethnera i Wolffa. Treść: Na posterunku, Samuel Łaszcz, Iwan Bohun, Sawa Czalenko, Dyablica, Starościna Opeska, Wpływowa kobieta, Literacka drużyna, Skromni pracownicy (Sylwetki): J. G. Styczyński, W. Marczyński, H. Jabłoński. — Zbytecznie zachęcać do tej książki; firma autorska dostatecznie ją proteguje; opowiadania cieszyć się będą takim powodzeniem jak wszystkie prace D-ra Antoniego J., który z benedyktyńską cierpliwością łączy w sobie talent artysty. Dzięki tej spółce autor wydobywa z poślódkich, martwych dokumentów promienie, które grzeją i rozjaśniają ciemnie dziejowe.

**Wiara i Niewiara w stosunku do szczęścia osobistego,** napisał ks. Ż. Szczęsny. Nakład Gubrynowicza i Schmidta.—Treść: Czego człowiek z przyrodzenia pragnie? Dlaczego tak wielu wyrzeka się doskonałego szczęścia? Czy pojęcie szczęścia doskonałego może się pogodzić z poglądami racjonalistów? Pokój sumienia, Używanie materyalne, Bogactwo, Miłosierdzie, Słudzy i wyrobniery, Cywilizacya, Miłość, Miłość Boga, Miłość bliźniego, Zjednoczenie w Bogu, Źródło zła, Naprawa, Posłannictwo Kościoła, Rozwój, istota i cechy Kościoła, Wewnętrzny ustrój Kościoła.—Z tytułów łatwo się domyśleć, jaka jest dążność książki, lecz trzeba ją przeczytać, aby doświadczyć rozkoszy duchowej i nacieszyć się językiem pięknym, naturalnym a jednak krasomówczym. Jest to zbiór leków dla dusz zboliałych, jest to walka zwycięzko stoczona z zasadami,

które społeczeństwa odwodzą od ideałów wiary i miłości, Autor książki musiał dużo przeboleć, dużo przebaczyć, kiedy potrafił z takim spokojem upominać złych, z taką gorliwością ratować zbłąkanych. Są w tej książce opowiadania wyciskające łzy z oczu a niema takiej ciężkiej doli, któraby w niej nie znalazła dla siebie pociechy.

**O pilniejszych potrzebach naszego języka naukowego i o słowniku zoologiczno-botanicznym,** przez Erazma Majewskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Rzecz tę wypowiedział autor pierwotnie na posiedzeniu warsz. Tow. Ogrodniczego. Chwalebna działalność p. E. M. zasługuje na gorące poparcie. Słuszne są przestrogi autora, kiedy mówi: „Doskonały język sprzyja cywilizacji, niewyrobyiony tamuje takową”; lub „Czyż mamy w wyścigu cywilizacyjnym pozostać na szarym końcu? Pamiętajmy, że podobna opieszalność częstokroć nie daje się później wynagrodzić; pamiętajmy, że literatura i gruntowna znajomość własnej mowy, to mocne podwaliny pod gmachem języka żywego—usuśmy je a gmach prędko popęka i runie; pozostawmy trwale a gmach przetrwa największe powoździe i burze niewzruszony.”

**Lat temu dwieście.** Opowieść na tle dziejów Krocacyi, przez T. T. Jeża. Nakład Gebethnera i Wolffa. Autor w tej opowieści znowu się znalazł na polu najwłaściwszym dla swego talentu; wszak wiadomo, że Jeż jest mistrzem w opowiadaniach z dziejów słowiańszczyzny. W powieści tej był przedewszystkiem artystą i dlatego też literaturę z bogactwem pracą bardzo cenną.

**Donna Rozanda,** dramat historyczny w 5-ciu aktach, przez Zenobiusza Drakuli. Nakład Gebethnera i Wolffa. Dramat poświęcony przez autora Julioszowi Kossakowi, dobił się nagrody na konkursie W. Bogusławskiego i takowej nie otrzymał. To upośledzenie niech nie rumieni autora; nie jest on sam, z nim doznał porażki autor „Larika” i inni. Pokazuje się, że fatum i dziś jeszcze rządzi wyrokami ludzkimi. „Donna Rozanda” posiada zalety sceniczne, lecz o ich ilości może dopiero dać wiarogodne świadectwo przedstawienie w teatrze; książkowy rachunek w tym razie jest zawsze niedokładnym. Natomiast możemy pochwalić treść sympatyczną i jędrny język. Autor ukrył się pod przyłbicą lecz nie potrafił wzmówić w nas, że jest nowicyuszem; nowicyusze tak pisać nie umieją. I ten dramat, jak „Larik”, jak komedye Lubowskiego rozgrzeszają komitet konkursowy za ukoronowanie dzieł najgorszych; komitet omylił się lecz konkurs dał dzieła cenne, chociaż im na imię ani Albert ani Minowski.

**Łukasza Górnickiego dzieła wszystkie,** Tom II i III. Przygotował do druku D-r R. Loewenfeld, wydał, wstępem i słowniczkiem archaizmów opatrzył D-r P. Chmielowski. Nakład S. Lewentala. O wartości tego zabytku literackiego mówiliśmy, donosząc o wyjściu tomu I-go; nie powtarzamy pochwał i zachęty do czytania wzoru wyborniej polszczyzny, cieszymy się tylko, że zapowiedź w tytule „dzieła wszystkie” nie jest płąną obietnicą.

**Żydówka,** powieść Bałuckiego. Nakład S. Lewentala. Powieść ta należy do lepszych utworów utalentowanego dramaturga i nowelisty, pomimo, że tendencyjność szkodzi w niejednym miejscu artystomowi.

**Janina,** fragmenty historyczne, z czasów Jana Kazimierza, Michała Korybutta i Jana III Sobieskiego; w 400 pieśniach. Napisał T. M. Sęczkowski.

**Z życia poety,** wspomnienia o Syrokomli, skreślił J. Horain. Nakład Gubrynowicza i Schmidta. Treść: Na jednym wózku z poetą, Pod jednym namiotem z poetą, Ostatnie lata Syrokomli.—Świadek, towarzysz i przyjaciel Syrokomli, J. Horain, opowiedział z humorem dole i niedole poety a przytem i swoje własne. Żywe i malownicze opisy przenoszą nas w czasy, kiedy jeszcze troska nie zatruła życia poecie; w ostatnich latach Syrokomli chwil jasnych było coraz mniej, aż w końcu tylko czarne chmury go otoczyły. Horain mówił nawet o tej epoce, nie traci swobody słowa; to już była taka natura—nie mogła jej złamać nawet ostatnia bieda, jaką Horain poznał w tulaczce amerykańskiej. Dziś może tylko jeden W. Korotyński, jako towarzysz i przyjaciel Syrokomli, mógłby powiedzieć, co w opowiadaniach Horaina jest prawdą, a co zmyśleniem.

**Z życia.** Nowelle Br. M. Hagenowej. Nakład Gubrynowicza i Schmidta. Tytuły nowelli: Mrzonka, On i Ona, Nidoszły rozwód, Pobył w Żegestowie, Róża alpejska, Czekam na trzeci, Dwie drogi, W świecie.

**Powieści pomniejsze M. Jokaya:** Ostatni basza budżyński, Przymusowa zabawa, Miss Leona, Struś, Lekarstwo na bajronizm, Wieża na Dago. Nakład Gubrynowicza i Schmidta.

**Bielica Liwoczańska,** powieść historyczna M. Jokaya. Tomów dwa. Nakład Gubrynowicza i Schmidta.

**Z różnych sfer.** Obrazek E. Orzeszkowej. Nakład S. Lewentala. Tytuły: Juliana, Czternasta część, Silny Samson. Obrazki to z życia czerpane, w artystyczną oprawę ujęte ale smutne, gorzkie, bez promyka nadziei. Wielce utalentowana autorka umie obserwować chorobę, zna się doskonale na dygnozie ale nie każdy z jej pomocą zdrowie odzyskuje.

**Koniec świata,** przegląd wypadków, jakie mogą spowodzić zagładę ziemi. Skreślił E. Majewski. Nakład Gebethnera i Wolffa. Książka ta nie ma nic wspólnego z broszurami zapowiadającymi koniec świata; jest to opowiadanie naukowe, w przystępnej formie. Autor daleki od podsywania imaginacyi czytelników, chce ich zapoznać ze zjawiskami, na które patrząc nie wiedzą przyczyny, ani domyślają się skutków. Czyta się książka naszego autora jak opowiadania Flamaryona o t. m. co się dzieje na gwiazdach: bawi ona i zarazem uczy. Samo nawet wyszczególnienie tytułów ciekawia czytelnika: Czy możemy przewidywać przyszłość? Nieskończoność, Zgaśnięcie słońca, Odległość gwiazd, Katastrofy niebieskie, Komety, Gwiazdy spadające, Natura uranolitów, Zamarznięcie ziemi, Wulkanizm i t. p.

**Agrypina (Neron).** Dramat historyczny w 5-ciu aktach z prologiem, przez J. Łabuńskiego. Odnznaczony na konkursie dramatycznym W. Bogusławskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Praca ta jest zadatkim na przyszłość, jeżeli autor lepiej pozna język, jakim rozinawiali bohaterowie starożytności. I oni mówili rubasznie ale nie po naszymu. Dramatowi brak jasności w układzie.

## DZIECKO KUPIONE.

## POWIEŚĆ

PRZEZ AUTORKE „LORDA ERLISTOUN”

przekład z angielskiego J. S.

(Dalszy ciąg.)

— Oddałem pieniądze — rzekł wesoło — wzięła je, ale chłopca będziesz pani miała dopiero jutro rano. Szkaradna kobieta! Rad będę, skoro z nią skończę. Gospodyni miała ochotę ją wyrzucić, ale uprosiłem, żeby jeszcze poczekała; teraz *madame l'Anonyme* będzie ją miała czém zapłacić. A kruch tam musi być z pieniędzmi! Kilka dni temu ofiarowała mi pierścień brylantowy przez wdzięczność za moje usługi, ale nie przyjąłem, ma się rozumieć. Jeżeli pani chce wziąć mamkę do tego malca, to gospodyni może się o nią postarać; nie lękaj się pani, potrafi ona utrzymać wszystko w tajemnicy.

— Będę jój bardzo wdzięczna, ale uważam, że tajemnica jest tu zupełnie zbyteczna. Wszyscy owszem mogą wiedzieć, że adoptowałam biedne opuszczone dziecko, którego odtąd jestem matką. Prawda zawsze jest najlepszą.

— Masz pani słusność — rzekł doktor, patrząc na nią z uwielbieniem — nikt nie potrzebuje więcej wiedzieć. Chłopcu także powiesz pani to, co będziesz chciała.

— Powiem mu wszystko, to mój obowiązek.

Doktor Franklin gorąco uściśnął jój rękę.

— Dałby Bóg, żeby wszyscy synowie mieli takie matki jak pani! — rzekł z zapalem — jeżeli malec wychowa się zdrowo, będzie kiedyś błogosławił panią.

Oboje mieli łzy w oczach i nie wstydziła się swego wzruszenia.

Wieczorem profesor starał się wytłumaczyć żonie znaczenie jednej ody Horacego, ale ona choć słuchała go uważnie napozór, ani jednego słowa nie rozumiała. Dziecko, którego miała być matką, zajmowało już całą jój duszę.

W ciągu nocy znów gęsta mgła zaległa dolinę i Audermatt stało się podobne do wysepki rzuconej wśród morskich przestworów. Poczta jednak nadeszła, przywożąc oczekiwane pieniądze. Pan Trevena oddał je swemu poskarbiemu, jak żartobliwie nazywał żonę, ona zaś przedewszystkiem odłożyła dziesięć funtów, które trzeba było dać nieznajomej.

— Doktor Franklin miał mi przynieść dziecko o dziesiątej — rzekła, z niepokojem patrząc na zegarek.

W téj chwili spostrzegła go, jak biegł z pawilonu bez kapelusza i machał na nią rękoma.

— Prędko, chodź pani ze mną! — wołał przez okno — ta kobieta warta siedzieć w celi więzennéj! Spiesz się pani, może jeszcze uratujemy dziecko.

Pani Trevena pobiegła z młodzieńczą żywością i zastała opuszczone niemowlę, leżące samotnie na ziemi, napół nieżywe z głodu. Nieład panujący w pokoju, porzrzucone sprzęty i kilka zostawionych drobnostek świadczyły o pospiechu, z jakim obie kobiety pakowały swoje rzeczy, żeby pod osłoną nocy opuścić potajemnie Audermatt.

Pani Trevena padła na kolana i chwyciła w objęcia prawie nagie niemowlę, kwilące żałośnie.

— Biedactwo moje! — wołała, tuląc je do piersi i osłaniając swoją suknią — doktorze, czy zdołasz je uratować?

— Spróbuj — mruknął amerykańnik, biorąc dziecko za puls, który bił coraz słabiej.

Z pomocą gospodyni, udało im się zatrzymać uciekające życie i w godzinę później ocalone niemowlę, rozgrzane i nakarmione, spało spokojnie w objęciach przybranéj matki.

— Ten malec zawdzięcza pani życie — rzekł doktor, patrząc z rozrzewnieniem na panią Trevena, tulącą do piersi obce dziecko, przez własną porzuczone rodzicielkę; — gdybyśmy byli przyszli pół godziny później, zastalibyśmy już trupa.

Zuzanna drgnęła i silniej przycisnęła niemowlę do łona:

— Będę czuwała nad *moim synem* — rzekła i odtąd inaczej go nie nazywała.

Dziwna ucieczka nieznajomej istną była zagadką, dopiero później wyjaśniło się wszystko. Poprzedniego dnia przyjechała z Fluelen rodzina niemiecka i pusty powóz miał tam wracać nazajutrz. Nieznajoma dowiedziała się o tém, ukradkiem porozumiała się z woźnicą i, zabrawszy rzeczy, razem z mulatką wysunęła się w nocy z pawilonu, przez nikogo niespostrzeżona. Na resztę pieniędzy od państwa Trevena czekać nie potrzebowała, bo doktor Franklin z własnej kieszeni dopłacił jój pozostałe dziesięć funtów st., byle tylko czemprędzej uwolnić z jój rąk nieszczęśliwą istotkę. Przyznał się do tego, czerwieniąc się okropnie i musiał przystać na zwrot danych pieniędzy.

— Nie potrzebujesz się pani obawiać, żeby się do was kiedy zgłosiła — rzekł do profesorowej — nie zna ani waszego adresu, ani nawet nazwiska, tylko moje, a gdyby kiedy zdołała odszukać mię w Ameryce, potrafię się z nią rozmówić!

Groźny błysk oczu profesorowej i zmarszczka przecinająca jój czoło upewniły doktora, że i ona potrafiłaby stawić opór, gdyby wyrodna matka przyszła kiedy do niej upominać się o porzuczone dziecko.

Tymczasem pan Trevena, rozradowany widokiem szczęścia malującego się na twarzy żony, z zdumieniem i ciekawością przyglądał się śpiącemu maleństwu, jak gdyby to był szczególnie jakiś okaz stworzenia. Zupełnie był pogodzony z tém co się stało, bo podług niego wszystko, co zrobiła Zuzanna, musiało być dobrém i słuszném.

— Dobrze moja żona powiada, że kobieta z sercem lepiej potrafi obchodzić się z dzieckiem, niż wszystkie niańki i doktorzy — rzekł amerykańnik; — zdaje mi się, że pojutrze będziemy mogli udać się do Lucerny wszyscy czworo: państwo, ja i ten mały obywatel.

Pani Trevena rozśmiała się głośno, po raz pierwszy rozśmiała się odkąd się poznali, bo też dziwne przeobrażenie zaszło w téj cichej niepozornej kobiecie, dla której dawno już minęła wiosna życia. Szczęście rozpromieniło łagodne jój rysy, nadało blask oczom, rozrozumieniło lica; podobną była do wiedzającego kwiata, który odżył nagle pod zbawczym wpływem rosy. Odmlodzona, rozradowana, z miłością wpatrywała się w różową buzię śpiącego maleństwa i zdawało jój się, że widzi w niém zmarłe swoje dzieciątko. Teraz już życie jój nie będzie samotném i bezcelowém, nadzieja i radość rozjaśni je odtąd, a i przybyciem dziecka błogosławieństwo Bożkie na dom ich spłynie.

Kiedy nazajutrz obaj mężczyźni wrócili z przechadzki, zastali już kufry zapakowane i panią Trevena siedzącą przy oknie z niemowlęciem na kolanach.

— Nigdy może tu nie wrócimy — rzekła, spoglądając na wspaniałą panoramę Alp, rysującą się na mroczném tle nieba — ale póki żyć będę nie zapomnę miejsca, w którym syn mój się urodził.

— Warto by go jednak ochrzcić — zauważył doktor — ja się ofiaruję na ojca chrzestnego, nikt inny chyba nie ma większego prawa odemnie.

Zuzanna podziękowała mu uśmiechem i przycisnęła usta do drobnéj rączki maleństwa.

— Nazwisko będzie nosił nasze, nieprawdaż Auguste?

— Naturalnie, moja droga.

— O imieniu także już pomyślałam — mówiła z niezwykłym ożywieniem, które czyniło ją niemal ładną — bohater naszych legend walijskich, rycerz bez skazy, mężny król Artur, dziecięciem także został porzucony na morskiem wybrzeżu; znalazł go czarnoksiężnik Merlin i przytulił, jak ja przytuliłam opuszczone niemowlę. Niechże i mój nosi imię Artura, niech wyrosnie na dzielnego męża, z czystém sercem i podniosłą duszą, na chlubę i pociechę naszą.

— Amen — odrzekli poważnie mężczyźni, i chłopiec od téj chwili zwał się Arturem.

## III.

Znajomi i przyjaciele państwa Trevena wielce byli zdziwieni widokiem ślicznój dzieciny, której profesorowa z rąk pra-

wie nie spuszczała; skoro jednak poznali prawdę, jednogłośnie zaczęli się unosić nad sercem miłosiernej kobiety.

— Bóg wynagrodzi pani ten litościwy uczynek — mówili — ale pani Trevena śmiała się z tego. Czyż nie została już stokrotnie wynagrodzoną? Nikt nie domyślał się nawet, jakim skarbem, jakim szczęściem dla niej było to dzieciątko. Z podwojoną gorliwością spełniała liczne swoje obowiązki, żeby potem pospieszyć do jasnego pokoiku, gdzie nad niemowlęciem czuwała wierna Manetta, piastunka przywieziona z Szwajcaryi.

W trzy miesiące dopiero po powrocie mogli się przenieść do swego domu w Kornwalii, gdzie wszystko było już przygotowane na ich przybycie. Zuzanna, namiętna lubownicza wsi, zmuszona od młodości przebywać w zadymionych miastach i poprzestawać na kilku pokojach urządzonych z prostotą graniczącą z ubóstwem, rozpyływała się w radości na widok pięknego obszernego domu, otoczonego rozległym ogrodem. Profesor także był u szczytu szczęścia; nie potrzebował już ciężką pracą zarabiać na swoje utrzymanie i troszczyć się wciąż o przyszłość; mógł swobodnie wśród ciszy wiejskiej oddawać się ulubionym studjom nad klasykami łacińskimi. Dochody wystarczały im nietylko na dostatnie życie, ale jeszcze można z nich było co oszczędzić na przyszłe kształcenie Arturka.

Chłopiec rósł i rozwijał się coraz silniejszy i piękniejszy. Jak wszystkie zdrowe i dobrze odżywiane dzieci, greczny był i spokojny, nikomu nie robiąc kłopotu. Umiał już rozpoznawać głos matki, uśmiechał się do niej i wyciągał rączkę.

Profesor, zajęty książkami i pisaniem uczonego dzieła, niewiele troszczył się o malca, ile razy jednak spotkał Manettę z Arturkiem na ręku, głaskał różowe jego liczko, oświadczając uroczyście, że nigdy jeszcze nie widział tak ładnego aniołka. Raz nawet odważył się pocałować chłopca, ku wielkiemu zdumieniu piastunki, która nie omieszkała donieść pani o tak niezwykłym fakcie.

— Czyż to istotnie już rok jak byliśmy w Szwajcaryi? — rzekł raz pan Trevena do żony, która towarzyszyła mu na zwykłej przechadzce — nigdy jeszcze czas mi tak szybko nie przeszedł.

Ona uśmiechnęła się tylko; i dla niej teraz czas biegł jak na skrzydłach. Oprócz zajęć domowych i wychowania dziecka, musiała jeszcze myśleć o utrzymaniu ogrodu i wydzierżawieniu gruntu; Zuzanna należała jednak do rzędu tych kobiet, które potrafią zadosyć uczynić wszystkim obowiązkom. Mąż był głównym przedmiotem jej starań i troskliwości, dogadzała mu, myślała o jego potrzebach, była zawsze przy nim, ilekroć zapragnął jej towarzystwa. Zawsze zajęta, umiała jednak znaleźć chwilę czasu dla biednych i chorych w całej parafii; nikt nie odszedł od jej drzwi, nie doznawszy pociechy i pomocy. Szczęście uczyniło ją jeszcze tkliwszą na cierpienia bliźnich i złote jej serce było przedmiotem podziwu i uwielbienia całej okolicy.

Zwykłym celem ich przechadzek był kościół w Tawton, malowniczy i piękny, starożytny bardzo budowy. Główną jego ozdobą były grobowce rodziny Damerel, która od wielu już stuleci dzierżyła zamek i posiadłość tego nazwiska. Niedługo bardzo można i potężna, w późniejszych czasach zubożała i straciła dawne swe znaczenie; ostatni jej przedstawiciel, nieszczęśliwy idyota, zmarł przed przybyciem państwa Trevena do Tawton, a tytuł i majątek przeszedł na dalekiego krewnego, który przebywał podobno zagranicą.

— Starożytna musiała to być rodzina, zapewne normandzkiego pochodzenia — rzekł profesor, spoglądając na kamienną postać rycerza kłęczącego na jednym grobowcu — patrz, Zuzanno, napisz opiewa, że ten dzielny mąż, Hugo Damerel, należał do krucjaty i walczył w Ziemi Świętej. Piękna to rzecz jednak być potomkiem starożytnej rodziny, nosić imię wstawione walecznymi czynami przodków.

— Zapewne — przywodziła Zuzanna, myśląc o dziedzicu Damerelów, biednym idyocie, złożonym niedawno wśród kości swoich przodków, i o swoim chłopcu tak pięknym, zdrowym i silnym, sierocie bez rodziny i nazwiska.

Arturka miał już dwa lata, kiedy zaszedł wypadek, który na jakiś czas zamącił spokój i szczęście państwa Trevenów.

Było to w czerwcu, Zuzanna wyprawiła Manettę z chłopcem na przechadzkę i nie widząc ich długo, poszła sama na spotkanie małego. Wtém na zakręcie drogi ujrzała nieznanego mężczyznę, który zdawał się czegoś szukać; wyglądał na cudzoziemca, ubrany był z wielką starannością i choć rysy miał piękne, nie budził ani zaufania, ani sympatii. Był to jeden z tych ludzi, co nigdy prosto w oczy nie patrzą.

Zuzanna minęła go obojętnie, nagle jednak ogarnęła ją dziwna trwoga. Jedna tylko chmurka ćmiła niekiedy jej szczęście: bała się, czy wyrodna matka nie pozazdrości jej dziecka i nie zechce odebrać jej tego skarbu. Na widok nieznanego obawy jej odżyły; a może to ojciec Arturka przychodzi upomnieć się o swoje prawa? Na tę myśl ucieła, że nogi się pod nią uginają i krew w żyłach zastyga. Zuzanna była jednak dzielną i odważną kobietą; zamiast uciekać przed niebezpieczeństwem, wołała odrazu stawić mu czoło. Zwróciła się do nieznanego i, patrząc mu w oczy, zapytała śmiało:

— Zdaje się, że pan tu jesteś obcy i szukasz kogoś; czy nie mogłabym być panu użyteczną?

— Dziękuję pani, istotnie nie byłem w Anglii od lat wielu.

Dźwięk głosu był jej znajomy, przyjrzała się bacznie obcemu mężczyźnie i z trudnością stłumiła okrzyk zdumienia: przed nią stał kapitan Trevena.

— Szukam tu mego brata, profesora Trevena — mówił dalej wahając się, bo i on zaczął ją sobie przypominać — czy nie zechciałabyś pani wskazać mi jego domu?

Zuzanna odetchnęła swobodnie. Powrót lekkomyślnego brata był dla niej prawdziwym ciosem, ale nie mógł iść w porównanie z nieszczęściem, którego się obawiała. Utraty dziecka nie przeżyłaby teraz, była tego pewną; na wszystkie inne próby starczy jej mężstwa i wytrwałości.

Kilkanaście lat już upłynęło, odkąd nie widziała Halberta, nie dziwnego więc że go nie poznała; teraz jednak skoro wymienił swoje nazwisko, trzeba mu było powiedzieć z kim mówi.

— Jestem Augustowa Trevena, oto nasz dom — rzekła krótko, nie podając mu ręki i skłoniwszy lekko głową, poszła w przeciwną stronę.

Wiedziała, że mąż jest w domu i wołała, żeby spotkanie między braćmi nastąpiło bez świadków. Kapitan Trevena nie myślał jej zatrzymywać, obawiał się bowiem bratowej; słuszne miał do tego powody.

W każdej niemal rodzinie znajdzie się jedna złąkana owieczka, marnotrawny syn, który lży wyciska z oczu matki i przekleństwo ojca ściągają na swoją głowę. Zdarza się niekiedy, że ciężko doświadczony grzesznik wraca na łono rodziny, ze skruchą wyznając swoje błędy; częściej jednakże brnie coraz dalej w złem, i zamiast żalu, lub chęci poprawy, chełpi się jeszcze z takich przewinień.

Takim był właśnie Halbert Trevena i biedna Zuzanna z gorczą myślała o przykrościach i walkach, jakie na nich sprowadzi ten niepożądany przyjazd brata. Mąż jej był tak słaby i łatwowierny, tak łatwo było przewrotnemu hulacy wyprowadzić w pole tę szlachetną duszę, nie znającą fałszu i obłudy.

Srebrny głosik dziecięcy wyrwał ją z zadumy.

— Mama! mama! — wołało złotowłose chłopię, wyciągając do niej rączkę.

Pochwyliła je w objęcia i okryła pocałunkami różową jego twarzyczkę. Śmiech i pieszczoty dziecka rozproszyły odrazu smutne myśli i nową natchnęły ją siłą. Postanowiła zaraz wrócić do domu i nie odwlekać dłużej stanowczej rozmowy z mężowskim bratem.

Zastała go rozmawiającego wesoło z Augustem; profesor był jednak nieswój i z widoczną ulgą zwrócił się do żony.

— Zuzanno, Halbert przybywa z Australii; sądzę, że pamiętasz go pomimo tylu lat niewidzenia.

— Poznałam go po głosie dopiero — odrzekła, siadając — on także mię nie poznał.

Kapitan Trevena był przebiegłym człowiekiem i bystrością umysłu przenosił młodszego o lat kilka Augusta; odrazu zrozumiał, że z bratową niełatwa będzie sprawa, starał się więc ująć ją grzecznością.

— Jakże się cieszę, że mogę powitać w pani bratową — rzekł, kłaniając się uprzejmie — żałuję, że nie przywiozłem z sobą mojej żony; jest bardzo ładna, najstarszy mój syn zupełnie do niej podobny.

— Ale dlaczego opuściłeś ich kapitanie? Jakaż sprawa przywiodła cię do Anglii? — spytała pani Trevena.

— Chęć odwiedzenia mego brata, do którego stęskniłem się bardzo.

— Prędko zamierzasz powrócić do Australii?

— Skoro nacieszę się bratem i dostanę od niego trochę pieniędzy, które mi są niezbędnie potrzebne.

— Byłam tego pewna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Zwrot coraz bardziej pokojowy. — Komplementa niemieckie dla Rosyi. — „Gazeta Kolońska”. — Umizgi niemieckie. — Niedowierzanie Europy. — Wszyscy się zbroją, nawet Holandya. — Co robi Austria. — Podwójna gra niemiecka. — Traktat niemiecko-włoski. — Agitacja Gladstona w Anglii. — Awanse w armii bułgarskiej. — Pomyślność finansowa.

Położenie ogólne polityczne nabiera niby ciągle coraz więcej charakteru pokojowego; w Berlinie przyjęto łaskawie oświadczenia francuzkie w sprawie pełnomocnika wojskowego niemieckiego i raczono uwierzyć, iż rząd francuzki nie żywi wojennych zamiarów. Według zapewnień wysoce półurzędowych organów, wszystkie mocarstwa pracują jedynie nad utrzymaniem i zapewnieniem pokoju, a austriacka „Politsche Correspondenz” prawi z tego powodu komplementy Rosyi, oświadczając, iż jęj to Europa głównie zawdzięcza tak pomyślny zwrot swoich interesów, a mianowicie temu, że umiała ona, obok życzliwego stosunku z Francją, zachować sobie zupełną swobodę akcji.

Pochwała ta, co prawda, nie grzeszy jasnością, a tém mniej jeszcze zrozumieć ją można wobec wystąpienia „Gazety kolońskiej”, która „szowinistów francuzkich” i „panslawistów rosyjskich” straszy w chwili stanowczej odwołaniem się do umów skierniewickich.

Po tém wszystkim co się w ostatnich czasach mówiło, pisało i robiło, po tém mianowicie co hr. Kalnoky powiedział w delegacjach, po tylokrotnych zresztą zapewnieniach, że Rosya niewzruszenie obstaje przy polityce wolnej ręki, nikomu zapewne nie przyszłoby na myśl, żeby umowa skierniewicka dotąd kogokolwiek obowiązywać mogła; a jednak „Gazeta kolońska” jest organem poważnym i stale z Berlina natchnienia odbierającym.

Zdaje się, jak gdyby Niemcy wszystkiego się czepiały, byleby tylko niepożądanemu dla nich zbliżeniu się dalszemu między Wschodem a Zachodem Europy przeszkodzić. Półurzędowe dzienniki niemieckie, a między innymi i wyżej cytowana „Gazeta kolońska”, nie przestają przekonywać Rosyi, iż w związku z Niemcami byłaby potężniejszą niż w związku z którémkolwiek innym mocarstwem, a cóż dopiero z Francją, i że tylko przy niemieckiej pomocy mogłaby bez przeszkody pokierować swoje interesa na Wschodzie, jakby jęj się tylko podobało. Niemcy, zdaniem tych organów, są tak potężne, że same jedne mogłyby bez żadnej subyekcji prowadzić wojnę na obu frontach swoich naraz, a w związku z Austrią posiadają już ogromną przewagę nad ewentualnymi swymi przeciwnikami. Cóżby to więc było, gdyby Niemcy połączyły się z Rosyją?”...

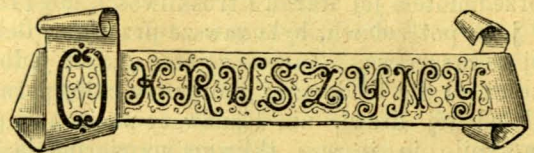
Dziwnie jakoś upokarzająco wygląda to narzucanie się z przymierzem, do którego druga strona wcale się nie kwapi, a wobec pokojowego niby zwrotu tém mniej posiada ono racyi bytu. Skoro pokój ma być, zkadże i poco takie nagle pragnienie przymierza; toć w czasach pokojowych łatwiej by się było powoli i rozważnie o nie postarać.

To też Europa, jakkolwiek wdzięcznie uśmiecha się do zapewnień pokojowych, jakoś im nie bardzo ufa. Uzbrojenia trwają ciągle na całej jęj powierzchni, a nawet państwa takie, które dotąd o podniesieniu gotowości swęj wojennęj nie myślały, jak np. Holandya, obecnie energicznie zbroić i umacniać się poczynają; nawet Turcyja, mimo smutnego stanu swych finansów, zamawia za kilka milionów franków pocisków u Kruppa i znaczny transport blach do pancerników u Grusona. Austria wreszcie już teraz zamierza zrobić użytek z 32 milionów guldenów uchwalonych przez delegacye wspólne na uzbrojenia, a tém samém zamyśla o założeniu obozu oszańcowanego pod Koszycami i o ufortyfikowaniu Pesztu. Mówią nawet o przewozie wojsk do Galicyi.

Niemcy oczywiście prowadzą grę podwójną: jedną ręką umizgają się do Rosyi, drugą układają się z Włochami i z Turcyją. Ów traktat bowiem niemiecko-włoski jest dotąd rzeczą zagadkową; toczy się o niego ciekawa polemika między prasą niemiecką, która utrzymuje, że został podpisany, a rosyjską i francuzką, które temu zaprzeczają. Najciekawsze zaś jest to, że prasa włoska, któraby najwięcej o tém wiedzieć mogła, milczy zawzięcie.

W Anglii Gladstone urządził na wielką skalę agitacyą przeciw bilowi represyjnemu irlandzkiemu. W Londynie odbył się w dniu 11 b. m. olbrzymi meeting w Hydeparku, a podobne meetingi jednocześnie odbyły się w bardzo wielu miastach prowincjonalnych. Wszystkie uchwały rezolucyę, piętnującą ów bil sromotą. Agitacya ta już dziś staje się groźną dla rządu margr. Salisburego, zdaje się bowiem, iż popiera ją większość opinii publicznej. Lord Salisbury zamyśla podobno o kontragitacyi, ale ta nie wiele ma prawdopodobnie widoków powodzenia.

Z Bułgaryi donoszą o licznych awansach w armii; trzydziestu kapitanów posuniętych zostało na stopień majorów, czém, jak utrzymują, regencya zjednała sobie wojsko. Zresztą finanse bułgarskie mają zostawać w tak pomyślnym stanie, iż projektowana pożyczka okazałaby się zbyt czerpaną, gdyby nie chęć forsownego poparcia budowy kolei żelaznej. Tymczasem jednak zwrócono już trzy czwarte rekwizycji i wypłacono urzędnikom zaległości z czasu wojny. Stoiliw ma pozostać w Wiedniu jako stały reprezentant Bułgaryi, aż do chwili stanowczego rozstrzygnięcia kwestyi bułgarskiej. Zgromadzenie narodowe jeśli nie teraz, to w każdym razie przed lipcem ma być stanowczo zwołanem.



613) ODPOWIEDŹ na pytanie: Który kraj jest dziś największym spichrzem zbożowym?

Największym spichrzem zbożowym w świecie jest Ameryka a największym spichrzem w Ameryce jest Dakota, zwana Złotym północno-zachodem, obejmująca całe niezmierne terytorium na wschód od Missuri aż do oceanu Spokojnego. Aby dać pojęcie o produkcyi zbożowej tej krainy, dość powiedzieć, że w 1883 r. wynosiła przeszło 20 milionów buszłów pszenicy (buszel 30 kilogr.) Łany zbożowe ciągną się tu prawie bez przerwy na nieobjętych okiem obszarach preryj i obecnie obejmują 75,000 włók złotym pokrytym kłosem. Przyjrzyjmy się chwilę tej gospodarce amerykańskiej, prowadzonej na skalę olbrzymią jak olbrzymie są płaszczyny, krajane plugiem rolnika.

Grunta Dakoty są własnością spółki kapitalistów, którzy nabywszy je pod uprawę, wyzyskują z chciwością właściwą spekulantom. W tym celu grunta rozparcelowane są na obszary od 2,000 do 6,000 włók i oddane pod nadzór zarządów, obowiązanych wyciągnąć z nich jaknajwiększe zyski dla właściciela. Administracya ma charakter czysto militaryjny; administrator 2,000 włók nazywa się majorem, 6,000 pułkownikiem, a sam właściciel dowódcą. Wódz odbiera raporty, wydaje rozporządzenia i załatwia finansową część operacyi, to badając ceny rynków zbożowych, to normując ilość i miejsce wysyłki. Od chwili poruszenia ziemi plugiem, do pokrycia się kłosem roli oko nadzorecy czuwa wszędzie, dowódca każdym ruchem kieruje. Dopiero po młóce wolno im odpocząć na laurach; a miłe są one; czarna rola daje przeciętnie 20 buszłów zboża z włóki, posiadaczowi 30,000 włók przynosi około 300,000 dolarów dochodu. Oto tajemnica milionów krezusów amerykańskich.

Jakież posiadacz gruntów w Europie mógłby marzyć choć o małej cząstce takich zysków?

Jak administracya tak i praca około roli ma w Ameryce charakter militaryjny. Te baterye maszyn, z których każda obsiewa dwanaście włók dziennie, te kolosalne żniwiarki, te setki plugów, kosiarek wiążących zboże w snopy, te dziesiątki parowych młockarni... to artylerya ze swemi działami. Tętyśiące robotników, koni, mulów uwijających się koło żniwa, to konnica i piechota.

Od początku sierpnia na całym terytorium Dakoty nie słychać nic prócz warkotu i chrzęstu kosiarek, a ktokolwiek był świadkiem tej kosynierki, nigdy

jéj nie zapomni. Jak nieprzejrzane morze, falują złote pola pszeniczne, a kosiarki poruszają się ciężko jak baterie działowe. Każdą z maszyn ciągną trzy muły lub konie, ruchami każdej kieruje konny nadzorca. Każda ścięta trupa kłosa na przestrzeni kilkudziesięciu metrów, wiąże je w snopy jak jeńców, zgnania w mendlę jak rannych. Maszyna mlóci ziarno i przewiewa, podnosi je do spichrza, spuszcza na okręt, ładuje na wagon i odwozi do Chicago, tego największego rynku zbożowego w świecie.

Nie bardziej zajmującego nad ruch w porcie zbożowym. Niedaleko portu wznosi się ogromny budynek, to elewator, albo spichlerz, do którego para zboże podnosi. Po jednej stronie elewatora krzyżują się szyny i wymijają pociągi, po drugiej opasują go kanały morskie. Naładowane zbożem wagony wjeżdżają do wnętrza spichlerza; maszyny podnoszą zboże na wyższe piętra, rynnny sprawdzają je na okręty. Praca maszyn nie ustaje we dnie ni w nocy; pył mączny wdychamy, pijemy, widzimy w postaci chmur nad sobą. Prędkość z jaką to przeladowywanie zboża odbywa, przechodzi wszelkie pojęcie. W przeciągu godziny 8,000 buszłów zboża przesypane się z wagonów na okręty, a w ciągu roku około 100 milionów buszłów rozchodzi się z Chicago po całym świecie.

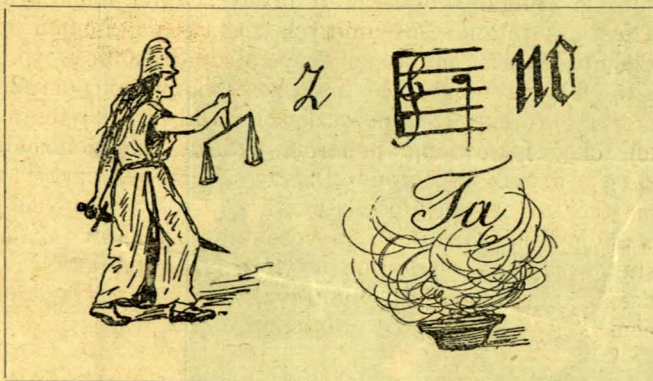
Na taką samą skalę odbywa się mielenie zboża. Wejźmy na chwilę do największego młyna w Pittsburgu. Do sklepienia piwnicznego, zapomocą wykutego w skale kanału, wprowadzony jest strumień jednego z spadków Missisipi, obracający z siłą 2,500 koni olbrzymie koła rozpędowe, nadające ruch pozostałym częściom maszyn. Setki cylindrów stalowych o chropowatych powierzchniach miażdżą zboże i ucierają je stopniowo na mąkę najdelikatniejszą. Pył mączny gromadzi się do licznych naczyń, z których przechodzi do worków i beczek. Szcieniem worków i zabijaniem beczek zajmują się ludzie pracujący z takim gorączkowym wysiłkiem, iż zdają się współzawodniczyć z siłą żywiołu, obracającego koła tego tytanicznego młyna.

Patrząc na tę uprawę prowadzoną na tak olbrzymią skalę, na te młyny poruszane siłą pary, na to nielitościwe wyzyskiwanie gruntu—niepodobna przykremu oprzeć się uczuciu; jest coś niezdrowego w tej nadprodukcji, w tym gorączkowym pospiechu. Jeżeli tak pójdzie dalej, złotodajna ziemia Dakoty wyłowienie i w dziki znów step się zamieni. Ów militarizm agronomiczny, zbrojny w cały rynsztunek techniki nowożytnej, wyda te same skutki, jakie Europie gotuje militarizm polityczny.

614) PYTANIE: Czem jest sen dla zdrowia?

**Ze skarba prawd.** Dzisiejsza cywilizacja przysparza ludziom potrzeb, nie dając do ich zaspokojenia dostatecznej ilości sposobów.

R E B U S.



Rebus z N-ru 15. Bieda człowiekowi, co pluje w gniazdo własne.

**Chora.** — Ach doktorze, nie uwierzysz, jak jestem chora! Nie mówiąc już o migrenie, o neuralgii, te bóle w nogach, to darcie w rękach, to kłócie w sercu, to ognie w oczach, ten szum w uszach, te sny okropne!

**Lekarz.** — Jakże musisz być pani zdrową, kiedy możesz to wszystko wytrzymać!

**Prawnik do kolegi.**

— Od pewnego czasu nigdzie nie bywasz, z wyjątkiem naszej piwniczki.  
— Dwa razy przegrawszy proces, ze wstydu pod ziemią kryć się muszę.

**Na przedstawieniu Hamleta.**

— Ten Szekspir był to wielki poeta.  
— Rzeczywiście, ma nieraz myśli, które by mi może nie przyszły do głowy.

— Mój gajowy, jak wam nalać herbaty, z arakiem czy bez?  
— Jeżeli łaska, to już proszę bez... herbaty.

JAK SOBIE RADZIĆ.

**Na ukąszenie os i pszczoł** skuteczna jest cebula czerwona, rozkrajana świeżo i przyłożona natychmiast na świeżą ranę. Europejczycy w Birmanii używają tego środka skutecznie na leczenie ran zadanych żądłem żmii i skorpionów.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Na rynkach zbożowych w ubiegłym tygodniu panowała cisza i spokój, w czém po części upatrywać trzeba wpływ dni świątecznych. Zresztą ceny utrzymywały się prawie ogólnie zeszlotygodniowe, z małą tu i owdzie co do żyta podwyżką. Jęczmień i owies nie były prawie w handlu. Przyczyny słabego ożywienia szukać należy po części także w tém, że dostawcy trzymają się w postawie wyczekującej.

Na naszym rynku wełnianym, mimo zbliżającego się jarmarku, znaczne jeszcze znajdują się zapasy wełny niesprzedanej, sięgające 12,000 pudów, lubo

w przeszłym miesiącu ruch był znaczny; oprócz bowiem pomniejszych partyj, po sto do kilkuset pudów, do samego Berlina zakupiono 1,300 pudów wełny rosyjskiej. Za wełnę z przyszłej strzyży, ofiarują obecnie ceny niższe, choć podobno przychodzą do skutku tranzakcje w tym kierunku, z obopólnym zadowoleniem.

Giełdy ciągle są w gorączkowym niemal zaniepokojeniu, a pokojowe widoki roztrącane przez statystów, nie znajdują jakoś w nich wielkiego zaufania. Ruble na giełdzie berlińskiej ulegały znacznym fluktuacyom, stojąc bowiem w dniu 13 na 179.60, w dniu 15 spadły na 179.10, poczem podniosły się znów z wolna do 179.40, stanawszy na tym kursie d. 18 b. m., aby potem nazajutrz spaść nagle na 178.60.

**Warszawa, d. 20 kwietnia 1887 r.** 5/10 Listy Zast. (za rs. 100) 102.—Listy Zast. ser. II lit. A. 101.75.—Listy Zast. ser. III lit. A. 101.75.—Listy Zast. M. W. I ser. 101.—Listy Zast. M. W. II ser. 100.—Listy Zast. M. W. III ser. 99.25.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 94.70.—Marka niem. kop. 55 1/2; zł. reński k. 88 1/2; frank k. 45; półimperyal rs. 9 k. 21; wartość rubla wlocie k. 56.

**Targ Warszawski.** Za korzec: Pszenica rs. 8 k. 10.—Żyto rs. 5 k. 15.—Jęczmień rs. 4 k. 40.—Owies rs. 3 k. 10.—Groch rs. 6.

— na stacyi Praga. Za pud. Pszenica rs. 1 k. 32.—Żyto k. 85.—Jęczmień k. 87.—Owies k. 87.—Groch k. 90.—Gryka k. 85.

O F I A R Y.

**Na wpisy dla uczniów.** Ferdynand Sawicki k. 30. Maryan Heese rs. 3. Ze stacyi Baby rs. 1. A. F. Z. rs. 1 k. 50. Ignacy Czabowski rs. 1. Franciszek Bridicki rs. 2. Z Zawad rs. 1 k. 50. Kazimierz G. rs. 5. A. Żukielis k. 30. Antonina E. z Grodna rs. 10. Ze stacyi Baly rs. 1.

**Na opał dla biednych.** K. F. W. Drik... rs. 2 k. 70.

**Dla biednych dzieci.** Józio k. 30.

**Dla najbiedniejszych.** Hilary Gamp k. 30. Karol Brzostowski k. 40. Kazimiera Malinowska k. 80. Władysław Baczyński k. 50. Bronisława Dąbrowska rs. 1. A. Dzwonkowski rs. 1. Marya Wojnarowska k. 30. Sabina Chotkowska k. 50. Ks. Józef Gudziński k. 63. Robert Laniewski k. 50.

**Dla Biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej.** Czesław Kaliszewski k. 50. Emma Wojewódzka rs. 1. Ks. Dworanowski rs. 1. Bronisława Nawrocka k. 35. Ks. Dyonizy Kopernicki k. 30. Ks. Ignacy Tomaszewski rs. 1 k. 20. Adolf Hriniewiecki k. 50. A. Kozłowska k. 30. Marya Kalinowska rs. 3. Antoni Chodakowski k. 30. Józefa Zielińska k. 30. Konstanty Raduski k. 50. Daniel Piekarski k. 30. Władysław Rudzki k. 45. Marya Czaplińska k. 50. Stefania Dumonlin k. 80. M. Czermińska k. 40. A. Żwański k. 30. Jan Grymulski k. 38.

**Na schronienie dla nauczycielek.** S. P. z Jakubowa rs. 5. Z Zawad rs. 1 k. 50.

**Dla biednych sierot.** M. A. Boguski k. 30.

**Na spalony kościół w Dorpacie.** Dorota Lipińska rs. 2.

**Na przytułek dla paralityków.** Ks. Wydźga rs. 5.



**Sprostowanie.** Od p. Naczelnika powiatu Janowskiego, otrzymaliśmy korespondencją następującą:

„Wyczytałem w numerze 46 Biesiady Literackiej r. z. ogłoszenie, p. t. „Zadośćuczynienie i ofiara” o 92 dukatach holenderskich, przeznaczonych przez niewiadomego ofiarodawcę do rozdziału między włościan wiosek: Antolin, Lute, Majdan i Stojeszyn, jako zadośćuczynienie za krzywdy kiedyś wyrządzone ich ojcom.

„Znajdując mylną zamiankę, o przeznaczeniu wszystkich pieniędzy na kościół w Modliborzycach, przesyłam następujące wyjaśnienie, prosząc uprzejmie o sprostowanie poprzednio podanej wiadomości, mianowicie: Na kościół w Modliborzycach ofiarowała wieś Wierzchowiska 20 dukatów, na kościół w Potoku wieś Stojeszyn 15 dukatów. Na Krzyż czerwonny: wieś Stojeszyn 1, Antolin 1, Lute 3 i Majdan 1 dukat. Na podatki: wieś Antolin 18, Lute 17 i Majdan 19 dukatów, i wieś Antolin na nabożeństwo za duszę niewiadomego ofiarodawcy 1 dukat. Razem 96 dukatów a nie 92. Dla zapłacenia podatków, włościanie sprzedali złoto w Lublinie, biorąc po rs. 4 k. 80—5 za dukat.”

**Biblioteka i towarzystwo spożywcze.** (P. S. Wol. w Warszawie.) Koledzy pana a członkowie Towarzystwa spożywczego mają zamiar chwalebny, żarty zaś na temat: „sól, pieprz, masło — żeby światło nie zgasło” są, daruj pan, bez sensu. Przy serze i maśle biblioteka nie zawadzi, nie widzimy w tém połączeniu żadnego dziwactwa. Zagranicą, w Anglii zwłaszcza, prawie niema stowarzyszenia, któreby nie posiadało biblioteki; np. stowarzyszenie „Bury”, mające członków 10,000 i kapitału obrotowego 6,000,000 fr., handluje mięsem, butami, sukniem, naftą i t. p. przedmiotami nie mającemi nic wspólnego z literaturą; jednakże posiada w bibliotece 12,500 tomów i utrzymuje 14 salonów zaopatrzonych w 470 dzienników i przeglądów. Urządza także odczyty z literatury, nauk przyrodniczych i t. p. Teraz pan powiedz, czy koledzy jego mają racją?

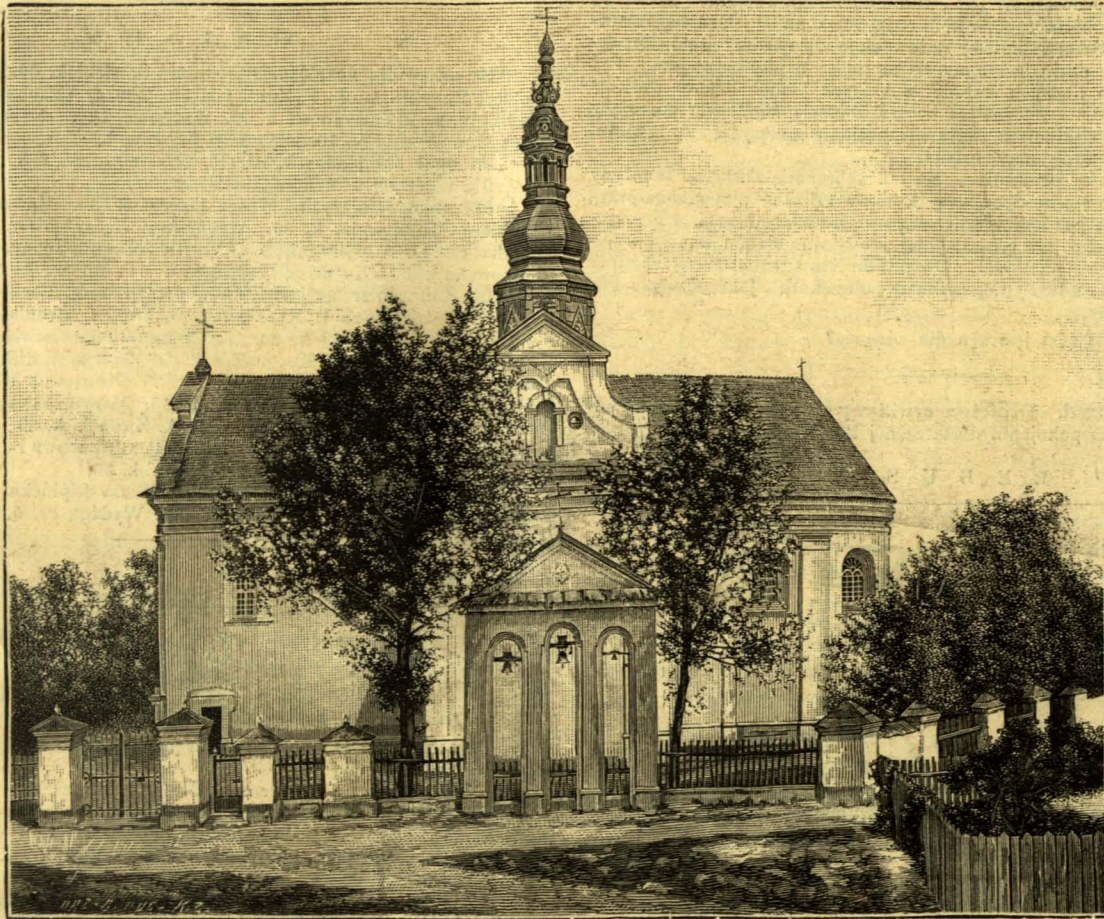
Post-scriptum.

**P. Al. N. w W.** Rysunki pomieszczone w numerze 13-tym i następnych Biesiady Literackiej, a przedstawiające wille Kraszewskiego w Dreźnie, w San-Remo, Pracownią drezdeńską, szkice i obrazy — są dokonane wyłącznie dla naszego pisma, podług szkiców samego Kraszewskiego i jego kuzyna, przez Rodziwiczę, przyjaciela Kraszewskiego, i innych artystów. P. p. F. Brzozowski, B. Podbielski robili rysunki podług szkiców dla nas przygotowanych, nie posilując się bynajmniej rysunkami z Tygodnika Ilustrowanego ani Tygodnika Powszecznego. Rysunki nasze, jak wille, pracownia i t. d. pomieszczone już były w tomach dawniejszych Biesiady. — Opowieść o działalności Kraszewskiego, ogłoszoną w Tyg. Ill., znaleźmy oddawna, ponieważ podobnej treści pracę tegoż autora drukowała przed kilku laty nasza Biesiada. — **P. B. Kowalewski lek. weterynaryj w Żelechowie.** Korespondencja z Żelechowa, której treść pomieściliśmy w nr. 11 B. L. podpisaną była nazwiskiem i imieniem zupełnie innym niż imię i nazwisko sz. pana — tylko litery początkowe były te same. Możemy słowem zaręczyć, że oprócz innego nazwiska styl korespondencji i listu sz. pana są także odmienne. Zwyczajnie nie pozwalają na wyjawienie nazwiska korespondenta, a więc

i my żądaniu pańskiemu zadość uczynić nie możemy; tembardziej, że w korespondencji nie był nikt osobiście dotkniętym ani wymienionym. Opinia o towarzystwie żelechowskim może być mylną ale nie widzieliśmy w niej nic ubliżającego ludziom uczciwym, pracowitym, oszczędnym i światłym; nie widzieliśmy w niej złośliwości tylko żal, że się tak źle dzieje. Jeżeli korespondent pomylił się, to niech kto inny przytoczy fakta rozpraszające jego cienie; fakta dodatnie chętnie wydrukujemy.—**P. K. B. w E. g. T.** Bolesny wypadek z Waszym kolegą i nas zasmucił, jak również cmentarz nieogrodzony, oddany na poniewierkę. Bóg zapłaci temu, kto dźwiga krzyże wywrócone na mogiłach. Przyjmijcie serdeczne pozdrowienie i słowa bratniej pociechy.—**Dziadkowi J. B.** Rebus zanadto łatwy; chyba dla dzieci. O partję szachów „rozegraną przez Noego i Jafeta” prosimy; choćby była późniejsza o kilka wieków to i tak wszystkich szachistów zainteresuje.—**P. Z. W. L. T.** Żadnych listów od sz. panów nie otrzymaliśmy; zginęły ale nie u nas.—**P. Witold Bitorowicz w R.** Wierzymy w szczerą życzliwość

## Przewodnik.

**Kupcowi w K.** O cenach zboża i mięsa w gub. Tobolskiej posiadamy wiadomości tylko z listów prywatnych; drukowanych sprawozdań brak nam pod ręką. W okolicy Elanska pud żyta kosztował w r. z. kop. 30, owsa kop. 15, jęczmienia kop. 8, mięsa funt kop. 2.—**Podolance z R.** Szujskiego rs. 8, Bobrzyńskiego rs. 3, Dmochowskiego rs. 1 k. 20. „Kobiety” rs. 2.—**P. A. Trzaskowski w K.** Szkoły zegarmistrzowskiej niema w Warszawie; młodzież uczy się tego rzemiosła w warsztatach u zegarmistrzów. Szkoła rzemieślnicza dla kobiet, założona przez hr. Z. Pi., istnieje przy ulicy Pięknej. Program prześle zarząd.—**P. A. Biernańska w K.** Album składa się rzeczywiście z arcydzieł sztuki europejskiej i nic mu pod względem moralności zarzucić nie można, pomimo to nie jest stosownym na upominek dla panienki. Trzeba się otrząsnąć z życia, trzeba zgłębić tajniki sztuki, jeśli chcemy na wszystkie arcydzieła patrzeć bez zakłopotania



KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W WŁOSZCZOWIE.

sz. pana; lecz aby dobrze radzić trzeba znać wszystkie okoliczności; w oddaleniu rzeczy różowej wyglądają niż zblizka. Robimy co tylko możemy, to dla spokoju naszego sumienia wystarcza.—**Sz. ks. T. U.** O kielichu włoszczańskim sprzedanym za 40,000 rs. zagranicę, a pochodzącym ze skarbcza kościoła Panien Bernardynek w Wieluniu—jak sz. korespondenci utrzymują—nie będącym więc spuścizną familijną, pomieścimy wkrótce artykuł źródłowy. Drugiego żądania, umieszczenie w Biesiadzie przerysu tego kielicha, niestety, spełnić już nie możemy; kielich przeszedł nazawsze do rąk obcych. Wielka szkoda, że w właściwym czasie nie pomyślano o upamiętnieniu go w fotografii lub drzeworycie.—**P. W. Krup. w W.** Ster balonów jeszcze nie wynaleziony; o tym pomyslnym rezultacie my pierwsi głosilibyśmy na wszystkie strony. Katalog wysłany, Skarbiec jeszcze nie wyszedł.—**P. Z. w Kole.** Czy warto się mozolić nad logogryfem, aby po kilku godzinach powiedzieć, że znaczenie jego jest: Orfeusz w piekle lub makaron włoski!

tania się obecnością świadków.—**P. R. L.** Rodzina Wojewody K. dostąpiła znaczenia za Stanisława Poniatowskiego; Tomasz był wojewodą lubelskim. Osobistość, o której w liście mowa, należy do rodziny innej, z nazwiskiem kończącym się na *niowski*.—**P. J. Wasilewski w N. A.** Skorzystamy z propozycji skoro zgłosi się interesant.—**P. Wł. W.** Botanika Czerwiakowskiego, pięć części, rs. 10 k. 80, bez przesyłki; wyczerpuje wszystkie kwestye tej nauki. Rostafińskiego także odpowiada celowi. Dzieła Kluga i t. p. wyczerpane.—**P. L. G. Giżycki w W.** Maksymy św. Ignacego rs. 1 k. 50.—**Kapitałiście w Lublinie.** Sklep à la Lesser warszawski dla Lublina jest pomysłem niepraktycznym. Zdaje nam się, że nawet właściciele tego bazaru wielkiego nie odważyliby się dziś na coś podobnego; założyli go w lepszych czasach, więc w tym kierunku „hurtowym” handel prowadzić muszą. Dziś wszelkie gospodarstwa powinny się ścisnąć a nie rozszerzać, tak samo handel im mniej srok trzyma za ogon, tém może być pewniejszym, że się o bankructwo nie rozbije.

Treść numeru 590 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej: Z Warszawy.—Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.)—Kartka z dziejów literatury, spisana przez naocznego świadka (dokończenie).—Wystawa starożytności.—Kościół w Włoszczowie.—Poczty gołgibie.—Raptularz tygodniowy.—Najnowsze wydawnictwa.—Dziecko kupione, powieść przez autorkę „Lorda Erlistoun” (d. c.)—Listy polityczne.—Który kraj jest dziś największym spięchrzem zbożowym?—Ze skarbcza prawd.—Jak sobie radzić.—Rolnictwo, przemysł, giełda.—Ofiary.—Gazetka.—Post-scriptum.—Przewodnik.—*Rysunki*: Pierwsze kry.—Wystawa starożytności w Warszawie.—Kościół w Włoszczowie.—Rebus.—„Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkusz 16.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monety obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumerata nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Апрелья 1887.—Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek.—Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego**: Chmielna Nr 26.



## Z WARSZAWY.

Nieco o wiosnie i o pani Elżbiecie Drużbackiej.—Przewroty i kataklizmy w naturze.—P. Falb i jego dni feralne.—Konfuzyja p. Falba.—Anormalności społeczne.—Przykłady dwóch miłości.—Kontrasty epoki przejściowej.—Obywatelski postępek państwa D.—Fortunny los litery D.—Słówko o szkołach rzemieślniczych dla kobiet.—Panna D. stolarka.—Hold dla siły woli i wytrwałości.—Requiescat!

Gdyby nagle z wiekowego snu ocknęła się s. p. Elżbieta z Kowalskich Drużbacka i przypatrzyła się naszej wiosnie obecnej, nie rozpoczęłaby z pewnością ody do niej od tych słów pochlebnych:

O złoty wieku w postaci dziecięcej,  
Wiosno wesola, jak się wdzięcznie śmiejesz!...

Nie do śmiechu tej naszej wiosence; płacze biedactwo, a lzy jej ścięte mrozem w powietrzu, wielkimi, smutnymi płatami śniegu spadają na zropaczoną ziemię, nadaremnie za cieplejszym wdychającą oddechem.

Dawne nasze uczciwe wiosny, kiedy to jeszcze kwiecień słusznie i zasłużenie miano swoje nosił, przepadły z kretesem; dziś, jak mówi poeta, zarówno w życiu naszym jak w naturze miewamy „same grudnie”, a „maj życia” dla trzeciego po nas pokolenia stanie się już niezrozumiałą legendą.

Ale najlepszą i jedyną dziś podobno pociechą w złém jest to, że mogłoby być jeszcze gorzej; a więc cieszymy się dopóki przewrót w naturze ogranicza się na zredukowaniu wszystkich pór roku do dwóch: do zimowej jesieni i do jesienniej zimy; radujmy się, że Falb, złowrogi wróżbita strasznych kataklizmów w naturze, zaliczon został między fałszywe proroki. Jak wiadomo, jednym z pierwszych przepowiedzianych przezeń dni feralnych dla świata, miał być dzień 23 marca. Tymczasem fatalna jutrzienka zabłysła nad światem, potem złote słońce wtoczyło się na niebieskie sklepienie i patrzy ciekawie na ziemię, co też to Falb będzie z nią wyprawiał—a tu nic! Ziemia po starym kręci się jak fryga, ludzie mrówczym chodem uwijają się po niej, i na tém koniec. Żle jest! d-r Falb w rozpacz. Trzeba bowiem wiedzieć, że Falb rozpacza ilekroć czarne jego wróżby spełnić się nie myślą; w spełnieniu ich leży przecież jego punkt honoru. Nareszcie nad wieczorem w dziennikach wiedeńskich ukazuje się wiadomość: „Dziś, w Badenie (pod Wiedniem) dało się uczuć dość silne trzęsienie ziemi.” „Eureka!—krzyknął Falb rozpromieniony—honor uratowany!...” Niestety, tryumf ten trwał niedługo; w parę dni wyjaśniło się, iż owo wstrząśnienie w Badenie, spowodował wybuch młyna prochowego w Wiener-Neustadt. Więc konfuzyja dla uczonego doktora; ale mniejsza o to, skoro w niej tkwi pociecha dla tej biednej, skołataniej ludzkości, że może i inne czarne przepowiednie austriackiego wróża się nie spełnią.

Ludzkość w ogólności a nasze społeczeństwo w szczególności dość ma już kłopotu z anormalnościami dziejącymi się w jego własnym łonie. Cóż naprzykład ma sobie nieszczęśliwe poradzić z taką rzeczą jak romans piętnastoletniego dziewczęcia z siedemnastoletnim chłopcem, omal nie zakończony samobójstwem obojga? Ją matka zburczała, dostrzegłszy te zielone amory—więc połknęła znaczną dozę łepków od zapalek; on dowiedziawszy się o tém, strzelił do siebie z rewolweru. Jej otrucie spostrzeżono dość wcześnie i uratowano ją; on przestrzelił sobie pierś, ale szalenciec będzie żył także. Dziwny zaprawdę stosunek wytworzy się między tém dwojgiem ludzi, związanych z sobą pozagrobową niejaką łącznością, a jeśli się połączą z sobą, czy odpowiedzą ideałom, jakie o sobie nawzajem w młodziuchnej wyobraźni utworzyli? Czy nie powtórzy się na nich ów drugi ciekawy fakt, że dwoje stęsknionych kochanków, ujrawszy się po kilku latach rozłąki, rozeszli się od razu nawzawsze—bo ona z wiotkiej dziewczicy stała się tęgą, rumianą gospodynią, on zaś z wiotkiej bohaterki przedzierzgnął się w opalonego, z zawieszonymi wąsami hreczkosieja...

Ciekawe, powtarzamy, choć smutne fakta, charakteryzujące nasz wiek, żyjący kontrastami, krańcowościami, zachciankami realistycznymi podszytymi materjalizmem i romantycznym

rozmarzeniem. Cechy to epoki przejściowej, która jednak trwa zadługo.

Dalekim od obu ostateczności jest za to fakt następujący, nie mający w sobie nic nadzwyczajnego—owszem napozór prosty bardzo i pospolity, a jednak zasługujący na zanotowanie. Państwo D. mają dwie córki, które znalazłszy odpowiednich kandydatów na dożgonnych towarzyszy swego żywota, uczciwie, po Bożemu, mają się z nimi wkrótce połączyć ślubami małżeńskimi. Wszystko więc w porządku z ich strony, ale również w porządku ze strony rodziców jest to, że będąc ludźmi zamożnymi, i mogąc na wyprawę dla dwóch córek poświęcić 15,000 rubli, całą tę wyprawę sprawiają w Warszawie, z wyraźnym zastrzeżeniem, aby w skład jej nic zagranicznego nie weszło. Nie heroizm to co prawda, ale piękny przykład pojmowania obywatelskich względem kraju obowiązków; gdyby było więcej takich jak państwo D. rodziców, odczułby to nasz przemysł i lżej by mu przyszło przeżyć chwile ciężkiego przesilenia...

Widać już stało w księdze przeznaczeń, że litera D. dobrze będzie zapisana na kartach dzisiejszej naszej warszawskiej kroniki, bo oto mamy znów o panie D. słówko do powiedzenia.

Dawno już słyszymy deklamacye o potrzebie nauki rzemiosł dla kobiet; dawno widzimy praktyczne niby usiłowania wprowadzenia w życie tej teorii, objawiające się w postaci rozmaitych prywatnych szkół rzemiosł, mających w krótkim stosunkowo przeciągu czasu kształcić kobiety na rękodzielniczki rozmaitego rodzaju. Bardzo atoli mało mieliśmy dotąd przykładów, żeby praktyka ta ze szkoły przeniosła się w życie, żeby uczennice takie zakładały własne pracownie i prowadziły je z korzyścią dla siebie a dogodnością dla ogółu. Czy w tém wina niedostatecznej instrukcyi szkolnej? czy rychło gasnącego, bo sztucznie poniekąd wzbudzonego w kobietach zapału do praktyki rzemieślniczej?... Nam się zdaje, że to wina obojga; a właśnie na panie D. mamy przykład, że przy szczerzej chęci i silnym postanowieniu, kobieta może dopiąć celu nawet bez szkół specjalnych. Panna D. nie była w szkole, ale dwa lata praktykowała u stolarza, w prawdziwym warsztacie stolarskim, a choć to stolarstwo wyjątkowo chyba przyspaść może do usposobienia kobiecego, tak się w rzemiośle wykształciła, że obecnie na spółkę z bratem sama warsztat stolarski zakłada.

Nie cytujemy tego przykładu, żeby zachęcać nasze panie do zawodu stolarskiego; owszem przyznajemy się otwarcie, iż nie uśmiecha nam się myśl oglądania wielu pięknych rączek naznaczonych odciskami od hebla—ale kłonimy głowę przed silną wolą i wytrwałością, w jakimkolwiek bądź one przejawiają się kierunku, bo to jedne z tych przymiotów, na których brak społeczeństwo nasze najbardziej choruje. Przykład kobiety powinienby tém skuteczniej działać na chorych.

\* \* \*

W chwili kiedy te słowa piszemy, uroczysty jęk dzwonów krakowskich towarzyszy s. p. Kraszewskiemu w ostatniej jego pielgrzymce z krypty pod kościołem ks. Pijarów, do podziemnego panteonu krakowskiego na Skalce. Opis tego majestatycznego obchodu, jakim Kraków czci zwłoki najzasłużeńszego, Biesiada podać może czytelnikom swoim dopiero w przyszłym numerze; ogromne zasługi nieboszczyka, już niby ocenione, w całej pełni poznać będzie można dopiero, gdy cała spuścizna tytanicznej jego pracy dojdzie do wiadomości publicznej. W tej chwili szczerze, serdecznie, po chrześcijańsku i po polsku westchnijmy za wieczny spokój tego, który na ziemi nigdy nie mógł znaleźć spokoju.

Każdy z naszych czytelników połączy się z nami...

*Requiescat in pace!*

## HERB NA GIELDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

( 'a'iszy riag.)

W ostatniej chwili zwątpienia ulitował się Bóg nad patriarchą rodu, jak się ongi ulitował Jehowa nad Danielem w jaskini dzikich zwierząt.

Do drzwi obitych blachą zapukał Habakuk.

Miał on na sobie zwyczajną szarą kurtkę, twarz rumianą zdrowego człowieka, na skroni dwa razy ciętą jakimś ostrem narzędziem. Miał duże wąsy butnie skręcone i oczy pełne ognia. Na ramieniu wisiała mu torba podróżna niezwykłego kształtu. Mina była śmiała i wyzywająca.

Gdy p. Joachim takiego gościa ujrzał przed kratką żelazną, którą z wiadomych przyczyn przedzielił swój kantor na dwie połowy, doznał przykrego wrażenia.

— Czy pan jesteś Joachim Rotszyld? — zapytał gość łamaną niemiecką.

— Czego pan sobie życzysz? — odparł wymijająco p. Joachim.

— Chciałbym mówić z panem Joachimem.

— W sprawach pieniężnych jest tylko firna, a mniejsza o to, kto z publicznością się styka.

— Mam osobisty interes wielkiej wagi.

P. Joachim namyślał się czas niejaki. Mógł być interes dla niego korzystny, a żelazna krata chroniła go od możliwych obelg.

— Ja jestem ten o którego pan pytasz — odpowiedział, oddalając się o dwa kroki od kraty.

Gość wydobył z pugilaresu jakieś papiery.

— Jestem Józef Strzemie \* \* a tu jest moja legitymacja. Czy znasz pan te Antheilsscheine, te kwity na zakupno losów tureckich, rumuńskich i anglobanku.

P. Joachim spokojnie usiadł przy biurku.

— Mój panie — rzekł z flegmą — gra jest grą. Kazałeś mi pan grać — grałem; kazałeś pan kupować na dyferencją — kupowałem. Przegraliśmy — cóż ja winien? Daję słowo honoru, że ja sto razy więcej straciłem od pana. Cóż te mizerne trzydzieści tysięcy?

— Mówiono mi, że pan nie zakupiłeś tych spadłych papierów przed „krachem”, tylko potem dopiero wykazałeś stratę fikcyjną.

— A cóżby było, gdyby te papiery zamiast spaść poszły do góry? Musiałbym panu zapłacić. To była moja gra.

— Więc pan w owym czasie nie zakupiłeś dla mnie papierów?

— To pana nie obchodzi. Graliśmy obaj. Pan kazałeś kupić, a mnie wolno było na moje ryzyko nie kupić. Pan przegrałeś, a ja wygrałem.

Pan Józef milczał chwilę. Prawo było po stronie wexlarsza. Zaciśnął zęby.

— Więc cała moja wkładka stracona?

— Należy mi się jeszcze sto dwadzieścia cztery guldeny i pięćdziesiąt trzy centy — odpowiedział p. Joachim, czytając w wielkiej księdze.

Ostatnia pasya porwała szlachcica. Rozpiął podróżną torbę i wyjął z niej jakieś dwa zagadkowe przedmioty, których za ciemną kratą nie mógł dobrze rozpoznać p. Joachim. Na każdy jednak wypadek pochylił się więcej nad biurkiem.

— Jesteś oszustem i złodziejem! — krzyknął p. Józef z poza kraty — procesować cię nie będę, ale musisz się ze mną strzelać... chociażby tutaj w tej jaskini łotrowskiej. Bierz prędko broń!

Rzekłszy to, położył na kracie dwie lufy pistoletu.

P. Joachim miał przyrząd przy biurku, zapomocą którego oznajmiał policjantowi stojącemu na ulicy niebezpieczeństwo grożące.

Już chciał nacisnąć sprężynę, gdy jakaś myśl lepsza przyszła mu do głowy.

— Ja strzelać się nie będę — odparł z wesołym uśmiechem — zabrakłoby mi czasu, gdybym z wszystkimi klientami w ten sposób sprawy pieniężne załatwiał.

— To ci sam strzelę w łeb jak psu! — wrzasnął pan Józef, wkładając lufę pomiędzy kratę.

P. Joachim zrobił ruch ręką, jakby jęć chciał użyć za tarczę.

— Zaczekaj pan! — zawołał — możemy pokojowo naszą sprawę załatwić; pocóż zaraz huku i puku?

P. Joachim miał w tej chwili jowialny wyraz na twarzy; patrzył z pewnym zadowoleniem na ożywioną twarz gościa, na której dwie blizny poczerwieniały jak smugi ogniste. Oczywiście jego rzuciły błyskawice.

— Czekam odpowiedzi! — wołał p. Józef, bawiąc się cyn-glem.

— Hm, hm — mruzczał p. Joachim — odpowiedzi tak zaraz tutaj dać nie mogę... wkoło otaczają mnie moi ludzie, chociaż pan ich nie widzisz. Możemy się zejść na konferencję w moim prywatnym mieszkaniu.

P. Józef pomyślał chwilę. Czyż miałby to być wybieg wexlarsza? Czy chce on złapać go w matnię? Jakież mogło mu grozić niebezpieczeństwo?

P. Józef nie znał żadnego niebezpieczeństwa, gdy miał przy sobie parę pistoletów. Postanowił jednak być ostrożnym i na wszystko dobrze uważać.

— A gdzie mam iść? — zapytał już słabszym głosem.

— Pierwsze schody, pierwsze piętro, numer 3.

— Czy zaraz?

— Zaraz.

P. Józef wyszedł do sieni.

## XIV.

W sieni stał jakiś człowiek niepokaźnie ubrany i pilnie przypatrywał się butnej figurze pana Józefa. Mierzył go od stóp do głów, jakby go chciał oszacować na pieniądze; zbliżył się do niego i wskazał na podwórze.

— Tu mój panie — rzekł do niego uprzejmie.

— Gdzie? — zapytał szorstko pan Józef.

Niepokaźny człowiek pokazał mu lśniący napis w dziedzińcu: *Geld für Alles*, pieniądze za wszystko.

P. Józef przeczytał kilka razy te szczególne słowa.

— Cóż to jest? — zapytał nieznanego.

— To, co pan czytasz — dajemy pieniądze za wszystko.

P. Józef rozśmiał się gorzko. Przypomniał sobie swoje przygody w Pałaczkach i w Konopówce.

— Zły napis — odrzekł — powinno być: *Wszystko za pieniądze*.

Obaczywszy schody, wbiegł szybko na nie.

Otworzył wskazane drzwi i wszedł do pokoju. Ostrożnie obejrzał się wkoło. W pokoju nie było nikogo. Francuskie dywany zaścielały podłogę; rzeźbione meble stały przy ścianach, przeglądając się w olbrzymich zwierciadłach; atmosfera była wonna i przyjemna.

Za chwilę z bocznych drzwi wyszedł uprzejmy gospodarz. Na twarzy miał uśmiech słodki, z oczu biło niepospolite zadowolenie. Powitał gościa jak dawnego przyjaciela, podał mu rękę i posadził na aksamitnym fotelu; potem wyjął z palisandrowej szkatułki olbrzymie cygaro.

— Wypal pan ze mną fajkę pokoju, jak mówią indyanie — rzekł do pana Józefa, podając mu cygaro.

Ostrożnie wziął pan Józef z rąk wiedeńskiego indyanina produkt hawański i z ciekawością spojrzął na niego. Sytuacja stawała się zagadkową.

Oblicze p. Joachima było w tej chwili tak zacne i uczciwe, że p. Józef przestał obawiać się pułapki. Zapalił szlachetne cygaro i czekał na pierwsze słowo.

P. Joachim milczał, jakby zbierał myśli swoje. Chciał mu dopomódz p. Józef.

— Ciekawy masz pan napis w dziedzińcu — ozwał się — *Geld für Alles!*

— Zaprawdę, szcycimy się taką instytucją. Jest to dobrodziejstwo dla najbiedniejszej ludzkości; kiedy nikt nie da—my dajemy.

— Przecież nie na słowo?

— Słowo nie jest przedmiotem realnym. Musi być przy najmniej jakiś sprzęt domowy, choćby ostatni...

Krótką pauza nastąpiła.

— A gdyby te słowa przelożyć?—zapytał p. Józef.

— *Alles für Geld?*

— Tak...

— Tego pisać nie trzeba, bo to rozumie się samo przez się.

P. Józef uśmiechnął się i pokręcił głową. P. Joachim z uwagą patrzył na niego.

— Pan masz blizny na skroni—przerwał medytacją gościa—czy mogę zapytać, z kąd one pochodzą?

— Z pojedynku.

— Czy pan się strzelałeś, czy biłeś na pałasze?

— I tak i tak.

P. Joachim cmoknął językiem.

— Śliczne, piękne blizny. Dałbym za nie trzydzieści tysięcy, gdybym je mógł mieć na moim czole.

— Można je mieć zadarmo.

— Ba, ale trzeba się pierw strzelać, a strzelanie to więcej warte niż trzydzieści tysięcy!

— Nie lubisz pan strzelać się?

— Nie jestem wojskowy, nie uczyłem się nigdy tego rzemiosła; nie moja to wina.

P. Joachim westchnął a p. Józef rozśmiał się na to skryte cierpienie zanego gospodarza.

Dotąd nie mógł go zrozumieć; nie mógł pojąć, co znaczy ta niezwykła grzeczność wexlarza. Był przygotowany na awanturę, chciał roztrząsać mu głowę lub przynajmniej guza nabić, tymczasem zlagodniał adwersarz jak baranek, a nawet miał względem niego jakieś lepsze zamiary. Cóżby to być mogło?

— Jeżeli się nie mylę—ozwał się p. Joachim po krótkiej pauzie—straciłeś pan na giełdzie trzydzieści tysięcy.

— Właściwie pan tak mówisz...

— Mniejsza o to... tak w książce zapisane... chciałem tylko wiedzieć, czy ta strata jest dla pana bardzo dotkliwa?

— Nie mam powodu taić się z tém—jestem prawie zrujnowany!

— Bankructwo—to wielkie nieszczęście!

— Gdyby to chodziło tylko o pieniądze!

P. Joachim przysunął się bliżej do swego klienta, z nieznanym uśmiechem zadowolenia.

— Jaką szkodę poniosłeś pan jeszcze?—zapytał z nietajoną ciekawością.

P. Józef przesunął ręką po czole.

— Pan tego nie zrozumiesz!

— Dlaczego nie rozumiem?

— U pana widzę wszędzie napis: *Geld! pieniądze!*

— Pieniądze to wszystko!

P. Józef chciał na to coś odpowiedzieć, ale po chwili namysłu zwiesił smutno głowę na piersi.

— Masz pan słuszność—rzekł po chwili—pieniądze to wszystko!... Przyjaźń—to pieniądze! Miłość—także pieniądze!

Dwa ciężkie przeciągłe westchnienia dały się słyszeć równocześnie. P. Józef westchnął, bo w to co wyrzekł, wierzył w tej chwili. P. Joachim westchnął także, bo nie wierzył w tej chwili w to, do czego przez całe życie się modlił.

P. Józef był przekonany, że utrata sukcesyi i dorobionych spekulacją kroczi stała się powodem jego nieszczęścia. Zamknęły się przed nim podwoje pałacu, a w Konopówce odano mu pierścionek.

P. Joachim do innego przyszedł rezultatu. Wierzył on tylko w pieniądze i był przekonany, że za pieniądze wszystko mieć będzie. Dzisiaj zmienił zdanie swoje, bo do szczęścia brakowało mu czegoś, czego za pieniądze nie mógł kupić. Ta była różnica tych dwóch westchnień, które teraz równocześnie odbiły się o kryształowe, weneckie zwierciadła, przesunęły się po rzeźbionym pułapie i w miękkich utonęły dywanach.

— Czy masz pan żonę? — zapytał po chwili p. Joachim.

— Nie mam — odpowiedział smutno p. Józef.

— Więc kochałeś się pan?... O znam ja tę rozkosz i te cierpienia!... Gdy byłem młody i pieniędzy nie miałem wiele... Adora miała tak czarne oczy jak dwa węgle, gdy jeszcze iskra ognia na nie nie padnie...

— Zrozumiesz pan moje nieszczęście?

— Widzę ją nawet przed sobą, jak patrzyła z miłością na pana... jak ścisłałeś jej drobne rączki... jak szeptałeś jej do różowego uszka, że ją kochasz nad życie, że ją ubóstwiasz... a ona...

Pan Józef zrobił ruch ręką, jakby te obrazy odpychał od siebie.

— Lepiej o tém nie mówić!

— A ona kochała pana także... bo miałaś pieniądze.

— Proszę tak nie mówić.

— No, dlaczego nie mówić prawdy? Przecież to nie ubliża ani jej, ani panu. Tak jest i tak być musi. Pieniądze i dla miłości są potrzebne. Miłość—to życie spokojne, to uśmiech zadowolenia. Gdzie troska, bieda i nędza, ztamtąd miłość ucieka.

P. Józef uśmiechnął się z ironią.

— Nie bierz pan za złe kobiecie — mówił dalej p. Joachim—jeżeli oddaliła się od pana, gdyś pieniądze utracił. Nie znaczy to, że przestała cię kochać; boleje ona nad tém, że cię kochać nie powinna i nie może. Okaż jej napowrót malowane papierki a miłość jej wróci i będzie nawet gorętsza od dawniej. Bądźmy ludźmi a nie żądajmy od innych aby się dla nas poświęcali. Równa wkładka daje spółce równe prawa.

P. Józef zamyślił się, ale na to nic nie odpowiedział. Było w tych słowach coś prawdy, chociaż brzmiały one po kupiecku. Nastąpiła długa pauza.

— Gdybyś pan miał owe pieniądze—mówił dalej p. Joachim—które przed operacją posiadałeś... czy byłbyś wtedy szczęśliwym?

— Nie wiem...

— Ale ja wiem, że wszystko wróciłoby do dawnego.

— Przenigdy!

— Ale zawsze lepiej byłoby panu z temi pieniędzmi.

— Nie przeczę... przynajmniej mógłbym się zemścić i zatryumfować nad tymi, którzy mnie teraz odepchnęli.

— Zemsta... tryumf nad nieprzyjaciółmi—to słodka potrawa bogów... Ja także za taką potrawę dałbym wiele, bardzo wiele pieniędzy!

— Czy pan masz nieprzyjaciół?

P. Joachim zrobił ruch ręką, jakby ciał i kłął na wszystkie strony. P. Józef patrzył ciekawie na te gimnastyczne ćwiczenia zanego patryarchy.

— Mógłbyś mi pan wielką przysługę wyświadczyć—rzekł po chwili p. Joachim—a ja za to oddałbym panu cały złożony u mnie kapitałik, chociaż według prawa przegrałeś go.

P. Józef spojrział z zadziwieniem na wexlarza. Na czole żyda wyprężyły się tętna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY.

SPISANA PRZEZ NAOCZNEGO ŚWIADKA. (\*)

(Dokończenie.)

Rok tedy 1860 był kulminacyjnym punktem energicznej krzątany Kirkora. Zbliżająca się chwila pierwszego noworocznego numeru Kuryera Wil. była ważną epoką nietylko dla redaktora i jego bliższych współpracowników, ale i dla stronnictwa mniej przychylnego redakcyi: jedni cieszyli się z doko-

(\*) Z powodu niewydrukowania ustępu zawierającego wyszczególnienie wszystkich prac A. H. Kirkora, czytelnik mógłby wnioskować z dalszego ciągu mego artykułu, że zajmowałem stanowisko sekretarza „Teki wileńskiej” i „Pisma zbiorowego”. Wniosek ten byłby mylnym, ponieważ pisma pomenione sekretarzy nie posiadały; udział mój sekretarski dotyczy innych wydawnictw A. H. Kirkora.

nanego faktu, drugimi kierowała zazdrość i chęć wynalezienia zawczasu jakichś stron ujemnych; wszyscy jednak zarówno byli interesowani. Dzisiaj, gdy nieledwo co kwartał rodzą się i konają jakieś efemerydy, które nikt się nie zainteresuje, pojęcia mieć nie możemy, jak żywotnym było faktem dla Wilna, dla kraju rozpoczęcie nowego wydawnictwa.

I Kirkor nie zawiódł ogółu: odrazu pismo staje się interesującym i wysoce umiejętnie kierowanym. Ś. p. Julian Horain nazwał był ironicznie Kirkora „*administratorem literatury wileńskiej*” — otóż ta ironia, bezwiednie dla samego jęj twórcy, stała się rzeczywistą a zaszczytną dla Kirkora pochwałą. I wistocie, teraz dopiero rozwinął się wielki talent redaktora w wynajdywaniu ludzi do odpowiednich czynności, w wywoływaniu talentów i skupianiu w piśmie znanych pisarzy w najdalszym promieniu od Wilna.

Pojmując, że pierwszym warunkiem dobroci i żywotności takiego, jak Kuryer, pisma jest skupienie z różnych miejsc dobrych korespondentów, Kirkor rozwija tę stronę dziennika w sposób dotąd niepraktykowany; nie licząc bowiem rozmaitych korespondencyj ze wszystkich okolic, jak: Edwarda Pawłowicza z Nowogródka, Zofii Klimañskiej i in., piszą tu stale: J. Grajner — z Warszawy, Tadeusz Padalica — z Kijowszczyzny, J. I. Kraszewski, Jan Prusinowski — z Żytomierza, Leonard Sowiński, Antoni Białecki — z Poznańskiego, Michał Wiszniewski — z Florencyi, — ale najcenniejszym nabytkiem była Zofia z Kamińskich Węgierska, której znakomite listy z Paryża byłyby ozdobą najlepszego pisma europejskiego.

Niezależnie od tego i dział literacki pięknie się przedstawiał w Kuryerze. W poezyi zdobią go: Deotyma (Hymn do matki ziemi), L. Sowiński (Przed Madonną Sykstyńską, Fragmenty...), W. Korotyński (Modlitwa do N. P. Ostrobramskiej...), ale oczywiście najwięcej poetycznych kwiatów rzucił tu Syrokomla. W innych działach literatury pięknej spotykamy tu utwory Leona hr. Potockiego, Ign. Chodźki (Obrazki litewskie, jak: Wotum chybione i in.), Józefa Korzeniowskiego (Złote kajdany) i t. d. Historia i tutaj, równie jak w Tece, miała również poważny swój wyraz, lubo w formie nieco popularniejszej: M. Baliński pisze recenzją Arcybiskupów Gnieźnieńskich; Antoni Muchliński „O początkach Rusi”, oraz o najdawniejszych wiadomościach o Wilnie w literaturze tureckiej spotykanych (z r. 1616); Julian Bartoszewicz pisze o Jędrzeju Bogoryi Mokronowskim; Koronowicz (Wróblewski) o Jerzym Lubomirskim; D-r Józef Przyborowski z Poznania ciekawe studium „O krwawym dyable”; z prac zmarłego prof. M. Homolickiego redakcyja układa piękny artykuł p. t. „Wspomnienie o Franku”, tyle niegdy głośnym i czynnym profesorem b. uniwersytetu wileńskiego, i in.

Głównym wszakże filarem pisma był M. Malinowski, znakomity pod względem złotej czystości polszczyzny i wytrawnych a głęboko w rdzeń rzeczy sięgających poglądów politycznych. Mogę się mylić, ale w czasopiśmiennictwie naszym XIX wieku znam dwu znakomitych polityków-publicystów (nie liczę Klaczki, piszącego poza granicami kraju): Maurycego Manna w Czasie i w Dodatku do Czasu, i M. Malinowskiego w Kuryerze wileńskim. Obaj wyrażają wprawdzie biegunowo-przeciwległe poglądy, ale obaj w swoim kierunku zarówno znakomici: Mann olśniewał ognistym słowem, a głęboką wiarą w szerzone przez się zasady, zjednywał dla siebie i stronnictwa swego szerokie koło nie tylko zwolenników ale i wielbicieli, głównie może z powodu, że sięgał do głębi serc ludzkich. Malinowski nie znał co to namiętność: ostatnia kropla krwi, namiętne zaburzenia w umyśle sprawić mogąca, dawno już się wysączyła z organizmu jego; ale za to baczny był, bystry, wszechstronny, na szali rozumnej krytyki ważyć wszystko umiejący, a wsparty rozległą wiedzą dziejową, głosił w przeglądach swoich prawdziwie wyroki historyczne: jasne, bezstronne, beznamiętne. O ile zaś był przewidującym, niech czytelnik raczy porównać jego sądy o ówczesnym królestwie pruskiem i o wyraźnych wskazówkach tego, co się stało później, t. j. po upływie lat dziesięciu.

Na 15 sierpnia 1864 r. kończą się moje osobiste, na miejscu robione spostrzeżenia. Nie były to już czasy, w którychby energia Kirkora w dalszym ciągu skutecznie trwać mogła, owszem, przerwana całkiem została: kontrakt dzierżawy pisma rozwiązano.

Nareszcie Kirkor osiada w Krakowie. I tutaj wprawdzie nie zaprzestał, jak dawniej, pracowitego życia, co było dlań tém konieczniejszym, że wykolejony z dawnych torów i pozbawiony dawnych środków do życia, musiał jedynie drogą ciężkiej pracy naukowej zdobywać kawał czarnego chleba. Oprócz prac archeologicznych przy Akademii Umiejętności, pisywał artykuły do dzienników i przeglądów; przypominał sobie dawniejsze prace etnograficzne i statystyczne; z dawniejszych materiałów historycznych, nie zużytkowanych w *Przechadzkach po Wilnie* oraz w *Przewodniku po Wilnie*, drukował „Skarbiec katedry wileńskiej”; miał odczyty o współczesnych objawach literatury słowiańskich, oraz „O znaczeniu i ważności zabytków pierwotnych i umiejętnym ich poszukiwaniu”, w Muzeum technicznem Baranieckiego w Krakowie; wydawał wreszcie i inne broszury treści archeologicznej, już to, jako przybrany członek Akademii Umiejętności, robiąc sprawozdania z dokonanych przez się wykopalisk, już to chętny przyjmując udział w pracach prywatnych, np. W. hr. Dzieduszyckiego i innych. Ostatnią wreszcie pracą, jak to nam ogłosiły pisma z Krakowa, miała być „Bazylika wileńska”.

Pośród tej roboty, dokonywanej z konieczności, z potrzeby, myślą i sercem wybiegał do Wilna i do tych szczęśliwych dni, w których pracował z pożytkiem dla siebie i dla wykształconego ogółu. Zapragnął wreszcie jeszcze raz, choć z oddalenia, być czynnym na témże co dawniej polu, ale niestety, nadzieje i marzenia jego rozwiać się musiały wobec zmienionych do szczętnie warunków literackich: to też wydawnictwo pisma zbiorowego p. t. „Na dziś” zrobiło najzupełniejsze *fiasco*. Nie zrażał się jednak i tém nowym niepowodzeniem i przed laty jeszcze dwoma układał projekta do wydania nowego pisma p. t. „Tekka krakowska”; wiemy o tém dokładnie, że miał już spory zasób artykułów, udzielonych mu z Warszawy i z miejsc rodzinnych, miał zamieścić w tym zbiorze komplet swoich pamiętników, częściowo tylko ogłoszonych, miał także zamieścić tam niewydane dotąd rzeczy historyczne, bądź przez siebie opracowane, bądź też ze zbiorów Homolickiego, Herburta, Jundzilla i t. d., których posiadał spory zasób. Jednakże projektowane pismo nie ujrzało światła dziennego; nawet nie wiemy nic o losach jego.

\* \* \*

Wyjeżdżając kilkakrotnie do źródeł leczniczych, wstępowałem do Krakowa i trzy razy się widziałem ze ś. p. Kirkorem. Przygarbiony i ociężały już staruszek, w wielogodzinnych ze mną pogawędkach na temat przeszłości ożywał się, rozpromieniał, piękniał... Szereg zawodów i niepowodzeń, jakie się powaliły na zboląłą głowę jego, podniosły go tylko moralnie, nie-szczęścia uszlachetniły i zatarły tę cierpką szorstkość, jaką dawniej niekiedy objawiał, a pozostała owa niezrównana serdeczność, owa gołębia prostota i serce miłujące wszystko, co zacne i szlachetne. W takim usposobieniu do złudzenia mi przypominał ową chwilę najwyższej swojej energii, kiedy to, pełen wiary w siebie i w szlachetne cele swoje, przemawiał do swoich najbliższych prawie to samo, co K. Ujejski improwizował w wierszu do swoich przyjaciół:

„Z płomiennym sercem, z gwiazdą na czole  
Z wiarą, która się ziści,  
Przodem a śmiało! choć serce pęka,  
Choć nas niejedna wstrzymuje ręka!  
A tam — pod nami... niech głuchną w dole  
Swary, potwarze, zawiści!”

Zawiści? swary? potwarze? Miał ich sporo w życiu swoim! Przebolewał je, przecierpiał w milczeniu: był bowiem tego zdania, że prędzej czy później wyrozumiałego doczeka się sądu. Sąd ten domierzonym być jeszcze nie może: ćwierć wieku od owych czasów nas oddzielająca — to zablizka chwila do odpowiedniej perspektywy, koniecznej do bezstronnych wyroków historycznych. To tylko pewna, że i dziś, zgodnie z prawdą powiedzieć można: że jako człowiek mógł błędzić w wyborze środków do celu; ale nikt mu nie zarzuci, żeby jego wola i czyny były kiedykolwiek w rozterce z sumieniem jego, jako obywatela i człowieka.

A. B—cz.

## WYSTAWA STAROŻYTNOSCI

URZĄDZONA W HOTELU EUROPEJSKIM

na rzecz Towarzystwa Dobroczynności.

O modzie i wystawach filantropijnych.—Wystawy starożytności u nas.—Ich znaczenie i doniosłość.— Nasze zabytki.— Wystawa obecna.— Zasluga hr. Józefa Krasińskiego.— Zalety i nieuniknione braki wystawy.— Nasze ryciny.— Jeszcze dwa tygodnie.— Uczciwa ciekawość.— Nowy katalog.

Wszystko w dziesiętym świecie, nawet dobroczynność, ma swoje mody. Otóż ostatnią naszą modą filantropijną, ostatnią formą w jaką dobroczynność nasza, w najzacniejszych celach na kieszenie nasze czyhająca, przeważnie stroić się lubi, są wystawy. Ta wielka pani, która sama nie posiadając nic, miliony rozrzuca między biednych i potrzebujących, nie folguje nikomu i niczemu; wyzyskawszy sztukę i naukę — w przedstawieniach artystycznych, koncertach, żywych obrazach i odczytach — nie darowała i przemysłowi: od niego zapożyczyła tę modę wystawową, której do niedawna świat cały ślepo holdował, i która dopiero w ostatnich czasach przeżywać się zaczęła.

Czy jęj i w tym wyjątkowym, uprzywilejowanym świecie, jakim jest świat dobrego uczynku, nie nadużyto już, jak mówią niektórzy, lubo nie dawno posługiwać się nią zaczęto, nad tęp zastanawiać się nie będziemy; dla nas wszelka forma dobroczynności, byle skuteczna, jest dobra. Twierdzimy tylko, że z pomiędzy wszelkich wystaw na cele filantropijne, wystawy starożytności mają największe racje bytu i nigdy zużyć się nie mogą.

Mimo wszystkiego co mówiono i pisano, o wykupywaniu starożytnych zabytków przez agentów zagranicznych i lekkomyślnem marnowaniu przez nas dziejowo rodzinnego dorobku, tkwi w nas, a przynajmniej w większej części nas, zazdrosne niemal przywiązanie do tych resztek świetnej przeszłości, do których wiążą się najdroższe rodzinne a niekiedy i narodowe wspomnienia. Każdy niemal ze starych rodów, czy to szlacheckich, czy mieszczańskich, przechowuje niby relikwie bodaj jedną taką cenną pamiątkę, z którą wziąć rozbrat za nic w świecie by się nie zgodził, i której strzeże z tą pieczołowitością i poszanowaniem, z jakimi szlachcic niegdyś chodackowcy a dziś już chyba bosi pielęgnuje swoje rodowe pergaminy.

Aby taki zabytek z tego zazdrosnego ukrycia wydobyć, aby do chwilowego chociażby pozbycia się go posiadacza nakłonić, trzeba nieraz szczególnego zbiegu okoliczności lub wyjątkowych wpływów. Ztąd pochodzi, że na każdej wystawie starożytności miewamy nowe okazy, częstokroć bardzo cenne a do inwentarza narodowego dobytku przez archeologów naszych dotąd nie zaciągnięte; każda więc taka wystawa powiększa niejako sumę tego dobytku, a przynajmniej świadomość o nim ogólną wzbogaca.

Że tak jest, świadczy o tęp i obecna wystawa, na którą do tęp chwili coraz nowe nadchodzą przesyłki. Ileż to czasu trzeba było, żeby niejeden namyślił się, żeby pokonał pewne niedowierzanie, obawy, wstręty i skrupuły. Wielu dopiero przykład drugich, zawsze zaraźliwy, pociągnął widocznie i zniewolił.

A jednak uczestniczenie w takiej wystawie, kto ma częp, jest obowiązkiem i zasługą obywatelską. Pomijając już bowiem nawet cel dobroczynny, każda taka wystawa jest żywą niejako historią domowego a poczęści i publicznego naszego żywota. Różnorodne jęj okazy świadczą o zwyczajach, upodobaniach, guście, wykształceniu naszych ojców w danych epokach, o zamożności ich i wpływach jakie na nich działały; świadczą lepiej i wyraziściej od martwego słowa w czcionkę drukarską ujętego. Inne znów uprzytomniają najważniejsze niekiedy chwile dziejowe, wrażają je w pamięć dosadnie, a nieraz stają się pobudką, ostrogą do badania dziejów, dla umysłów, któreby się nigdy tęp pracą nie zajęły, gdyby nie owo zabytkiem dziejowym wywarłe wrażenie.

Kto tak pojmuje znaczenie wystaw starożytności, ten musi uznać zasługę hr. Józefa Krasińskiego, inicjatora tęp ostatniej, która niby za uderzeniem różczki czarnoksiężkiej, staraniem jego, w przeciągu paru tygodni rozsiadła się szeroko w kilkunastu salonach Hotelu Europejskiego. Pospiech z jakim powstawała, aby pilnej potrzebie Towarzystwa Dobroczynności czempredziej zaradzić, nie pozwalał na systematyczny jęj układ, który zresztą powolne a ciągle napływanie okazów czyniło niepodobnym; ale uczyniono wszystko, aby zgromadzić jaknajwiększe bogactwo zabytków, i aby, skoro nie systematycznie, grupować je przynajmniej gustownie, tak aby jaknajmiliej w oko wpadały. Ze jednak nie pominięto i systematyczności, gdzie ją uszanować się dało, świadczą o tęp dwa niby saloniki, w pierwszej sali wystawowej pomieszczone, a zapełnione wyłącznie meblami, jeden z czasów Ludwika XV, drugi z czasów Ludwika XVI.

Zresztą wszystkie możebne działy są tu reprezentowane, lubo naturalnie w stosunku nierównomiernym. I tak najbogatsze są między innymi działy sreber, bronzów i materyj, podczas gdy oręż i w ogóle uzbrojenie najslabiej się przedstawia, w przeciwieństwie do wielu innych, dawniejszych wystaw, na których dział ten przeważał prawie zawsze.

Wyliczać choćby główniejszych przedmiotów tutaj nie możemy; zebraloby się tego zaraz na spory katalog, a to już rzecz zarządu wystawy. Rysownicy nasi pochycili ołówkiem na papier ważniejsze, efektowniejsze okazy: wszystkiego po trosze. Celniejsze sztuki broni pomieściła Biesiada już w jednym z poprzednich numerów; w niniejszym także broń i zbroje główne miejsce zajmują na rycinie; różnorodne naczynia widzimy tutaj w dwóch grupach na lewo, po prawej biust marmurowy i obrazy. Sanki Stanisława Augusta, wyrobione z jednej sztuki drzewa lipowego, stanowią przedmiot osobnego rysunku równie jak piękny ołtarzyk Jana III i części zbroi wielkiego naszego kanclerza.

Kto ciekaw szczegółów, ma jeszcze przed sobą dwa tygodnie czasu do zaspokojenia tęp usprawiedliwionej ciekawości. A ciekawość ta będzie mogła się teraz tęp lepiej zasycić, że w tych dniach ma się ukazać prawdziwy „Katalog wystawy”, zredagowany przez p.p. Bisiera i Sulatyckiego, którego potrzeba bardzo czuć się dawała; zastąpi on pospiesznie dokonany i niczego nie uczący spis dotychczasowy. Jeszcze raz dziękujemy szanownym inicjatorom wystawy i równocześnie cieszymy się, że należymy do społeczeństwa, które umie ocenić uczciwe cele, mozolne prace. Wystawę starożytności zwiedziło kilkanaście tysięcy osób—na tęp pielgrzymce i wspomnienia i miłosierdzie wiele zyskały.

## KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W WŁOSZCZOWIE.

Kościół parafialny w Włoszczowie pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, tudzież ŚŚ. Józefa i Joachima, zbudowany został w r. 1648 z kamienia i cegły, kosztem parafian i pobożnych pielgrzymów.

Kiedy Włoszczowę nabyli Szafrancowie, wyznający luteranizm, kościół obrócili na zbór, oddali go predykantom, księży katolickich wygnali i używali wszelkich środków aby szerzyć odstępstwo od wiary ojców.

Gdy lud prześladowany błakał się po sąsiednich parafiach, w celu zaspokojenia potrzeb duchownych i lży rzewne wylewał, w ubogiej i opuszczonej chatce, w mieście Włoszczowie, objawiła się Najświętsza Marya Panna w towarzystwie ŚŚ. Joachima i Józefa, dając znać, że chce, aby tu katolicy nowy dla siebie kościół postawili. Delegacya wyznaczona przez arcybiskupa i prymas gnieźnieński Macieja Łubieńskiego, złożona z duchowieństwa i świeckich osób, stwierdziwszy prawdziwość objawienia, uznała miejsce za cudowne i pozwoliła postawić kaplicę, którą konsekrował J. E. ks. Mikołaj Świercki biskup Cytryński w r. 1648.

Później, gdy napływ ludu był coraz większy, kaplicę powiększono i przystawiono do niej główną nawę oraz dwie boczne

przeciwległe kaplice, przez co kościołowi nadano kształt krzyża; do tego nowego kościoła wszyscy duszą i sercem przyglęli, a stary rozebrano.

Obecnie istniejący kościół włoszczowski wskutek pożaru uległ wielkiemu zniszczeniu a lubo odbudowano go, jednak wież nie podniesiono; ta zaś, która wznosi się na środku kościoła i wspina się nad miastem panuje, zbudowaną została 1874 r. kosztem parafian, a staraniem wielce szanownego ks. Walentego Khauna, dziekana i proboszcza podówczas.

Kościół włoszczowski dwa razy był rabowany: raz w 1794 po bitwie pod Szczekocinami, drugi raz w 1812 roku. Podczas tych rabunków wiele kosztowności tak z ołtarza, jako też ze skarbcza zabrano. Obraz Matki Bożkiej cudami słynący, srebrną suknią, dwiema koronami i kamieniami wysadzonymi ozdobiony, był wywieziony przez ówczesną dziedziczkę Włoszczowy hr. Ewę Małachowską do miasta Końskie, gdzie dopóki pokój nie wrócił pozostawał.

Ks. G. S. AUGUSTYNIK.

## POCZTY GOŁĘBIE.

Gdy w r. 1870 prusacy oblegli Paryż, mieszkańcy odcięci od reszty kraju nie mogli porozumiewać się z rodakami, którzy organizowali na prowincyi obronę. Z miasta nikt nie mógł się wymknąć, by rządowi, znajdującemu się w głębi kraju, donieść o stanie obleżonych; nikt też od tegoż rządu nie zdołał precyzyjnie się pomiędzy strażami pruskimi, by zawiadomić stolicę o możliwości ratunku i wezwać ją do wytrwałości.

Druty telegraficzne, nawet i podziemne, przezorny nieprzyjaciel poprzecinał, do balonów, jakie ze stolicy wypuszczono, strzelał, i w ten sposób niweczył wszelkie zamiary obleżonych. Balony te zresztą niewiele pomódz mogły, gdyż najczęściej niósł je wiatr tam, gdzie żeglarze powietrzni przybyć nie pragnęli, np. aż do Szwecyi, albo też wpadały w ręce nieprzyjaciół.

Wówczas to wyświadczyły gołębie pocztowe wielką usługę francuzom, przynosząc raporty z Paryża do Tours, gdzie przebywał urząd, i naodwrot.

W jaki sposób zdołano wyuczyć gołębia tej służby?

Gołąb należy do ptaków przywiązujących się nadzwyczaj do miejsca rodzinnego; z każdej innej miejscowości natychmiast do niego powraca. Oto cały sekret edukacyi i zdolności gołębi pocztowych.

Skoro paryżanie potrzebowali porozumieć się z rządem przebywającym w Tours, wówczas człowiek prywatny Van Boosbeck, lubownik gołębi, między którymi posiadał wiele pocztowych (znanych pod tą nazwą także i w ornitologii) wsiadł w łódkę balonową i wraz z kilkudziesięciu pocztarkami skrzydlatymi puszczał się w przestworza. Wiatr mu przyjął, bo uniósł go na południe Francyi tak, że uniknąwszy siideł pruskich przybył do Tours, gdzie przedstawił rządowi nieznanym dotąd urzędników pocztowych. Wkrótce potem odeszła z Tours pierwsza poczta skrzydlata do Paryża.

Do ekspedycyi tej należało kilka gołębi, które w torebce umieszczonej na szyi niosły depesze rządowe. Zapomocą sztuki fotograficznej zdołano pismo w depeszach tak zmniejszyć, iż jeden gołąb mógł unieść kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt raportów i rozkazów.

Gdy gołębia zaopatrzono już w torbę listową, puszczano go wolno a on wzniósłszy się w powietrze, okrążył kilka razy miejsce, gdzie stał zaimprovizowany urząd pocztowy, jakby szukał drogi, którą obrać należy, a następnie puszczał się jak strzała w kierunku Paryża.

Mieszkańcy stolicy czekali niecierpliwie na przybycie każdej poczty, śledzili gołębi z torebkami na szyi a zoczywszy je, chwyтали i niesli do biura komendanta miasta. Tam wyjmowano korespondencje z torebki i czytano je zapomocą szkieł powiększających.

Z wykazów urzędowych dowiadujemy się, że w czasie obleżenia wywieziono z Paryża 365 gołębi pocztowych na prowincyę, z tych powróciło tylko 57. Poczty gołębie nie przybywały jednak do Paryża regularnie, niektóre ginęły w drodze, inne zaś bardzo się opóźniły; w d. 17 lutego 1871 przybył do Paryża gołąb, którego wysłano z depeszami do stolicy jeszcze w dniu 18 listopada, był zatem w drodze aż 3 miesiące.

Mimo to przyznają francuzi, że gołębiom pocztowym wiele mieli do zawdzięczenia. Jak bociany na północy, jak gołębie na placu św. Marka w Wenecyi doznają uszanowania od ludności, tak paryżanie szanowali gołębie pocztowe; żywili je i pielęgnowali na koszt publiczny, budowali im wieże mieszkalne, aby gołąb pocztowy przypominał zawsze historią obleżenia stolicy w r. 1870.

Do roku 1870 hodowlą ich trudnili się tylko ludzie prywatni, rząd zaś prawie wcale niemi się nie zajmował. Niedbałość rządu posunęła się tak dalece, że kilka wpływowych osobistości z Paryża, a pomiędzy niemi znany hodowca gołębi pocztowych hr. La Perre de Roo, napróżno usiłowało skłonić ministra wojny Cissey'a do tego, by przed obsaczeniem stolicy sprowadzić do niej gołębie pocztowe z przyległych prowincyj. Następstwem tego było, że paryżanie przez długie czasy po zamknięciu miasta nie mogli wysłać depesz na prowincyę.

Dopiero po wojnie z Prusami zwrócił rząd francuzki uwagę na pocztarków skrzydlatych, którzy mu się tak świetnie zasłużyli. I znów tenże hr. La Perre de Roo wystąpił do Thiersa z broszurą, w której tym razem skutecznie już domagał się założenia wojskowych stacyj dla gołębi pocztowych.

Wskutek polecenia Thiersa zarząd pocztowy, podług planu hr. La Perre de Roo, wybudował wieżę, mającą służyć za stacyą dla gołębi. Budowę tej wieży ukończono w roku 1878; odpowiadała ona wszelkim warunkom dotyczącym wygody, obszaru i t. d.

We wieży umieszczono 200 par gołębi a hodowla ich i tresura postępowała tak szybko, że wkrótce okazała się potrzeba założenia drugiej stacyi na „Mont Valerien.”

Wieża w „Jardin d'Acclimatation”, wybudowana wyłącznie z kamieni i żelaza, ma 30 metrów wysokości a 6 szerokości. Oprócz dołu zawiera ona 4 piętra, na których mieszczą się gniazda dla 400 par gołębi.

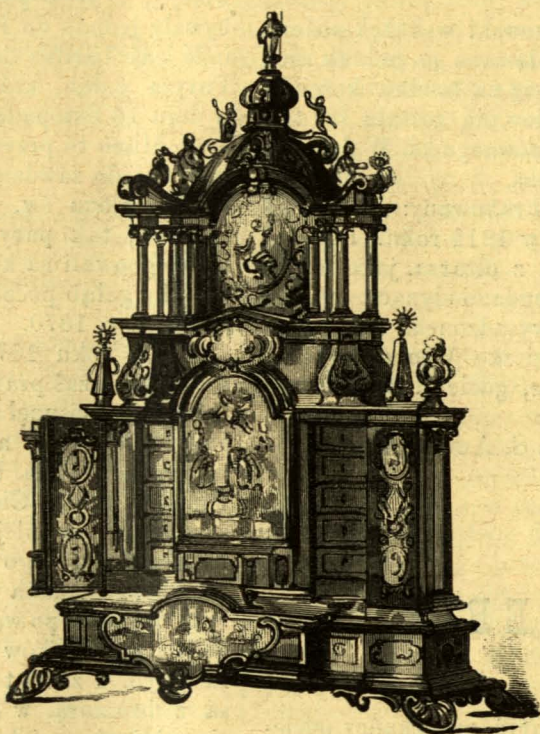
Gołębie pocztowe sprowadzono z Belgii, którą można uważać za ich ojczyznę, lecz dopiero młode, które światło dzienne ujrzaly na ziemi francuzkiej, mogą być przydatne do przenoszenia listów, a to dlatego, że gołąb pocztowy powraca tylko do miejsca rodzinnego. Zadaniem zarządów stacyj poczt gołębi jest wybór jaknajzdrowszych i najsilniejszych; na tém też kończy się ich tresura.

Z końcem roku 1885 posiadała Francya już ośm stacyj gołębi pocztowych: w Paryżu, w Vincennes, w Marsylii, Perpignan, Verdun, Tours, Lille i Belfort. Corocznie na ich utrzymanie i na telegrafy optyczne przeznaczają rząd sto tysięcy franków. W ciągu kilku lat ostatnich przysporzył sobie rząd tyle gołębi, iż w razie wojny zdoła utrzymać codzienną korespondencją za pośrednictwem gołębi pomiędzy owemi ośmiu miejscowościami przez pół roku, chociażby nawet wiele wysłanych gołębi na miejsce przeznaczenia nie przybyło.

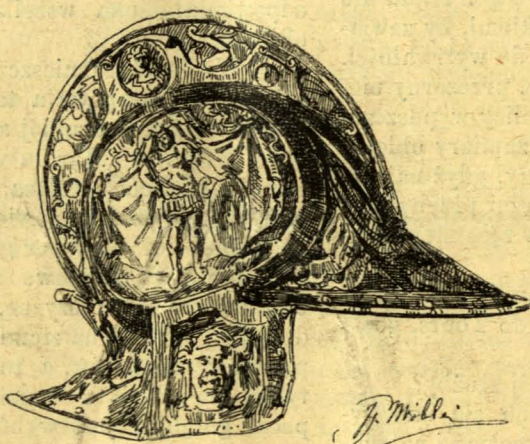
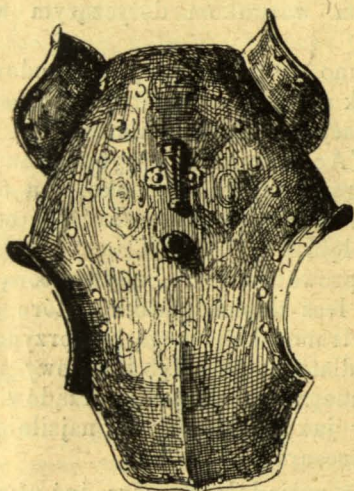
Ludność a głównie wysłużeni żołnierze pomagają rządowi w ten sposób, że biorą ze stacyj gołębie, celem dalszego ich rozmnażania; z czasem dojdzie do tego, że każda ważniejsza pod względem militarnym miejscowość będzie miała własną stacyą. Co więcej, w wielu miastach utworzyły się towarzystwa chowu gołębi pocztowych, w r. z. na wniosek jeneralnego dyrektora fortyfikacyj uorganizowały one związek patryotyczny, którego zadaniem jest przyczynić się do obrony ojczyzny, tak strasznie przed siedemnastu laty dotkniętej.

Za przykładem francuzów, także i niemcy, którzy przyswajają sobie wszystko, co pod względem militarnym przydać się może, założyli kilka stacyj gołębi pocztowych, a pomiędzy niemi w Toruniu i Poznaniu; w ostatnich zaś czasach także i austriacy, na kopcu Kościuszki pod Krakowem.

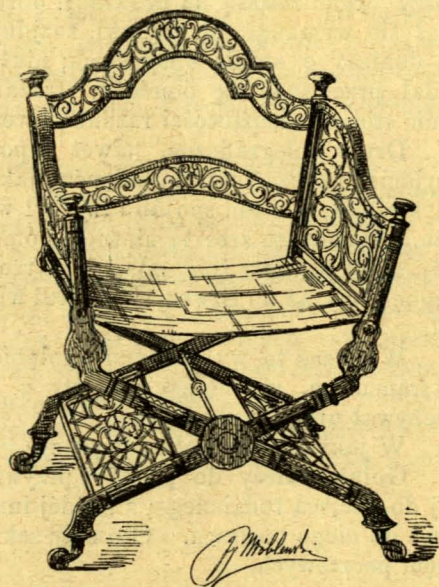
WYSTAWA STAROŻYTNOŚCI W WARSZAWIE.



Ołtarzyk polowy Jana Sobieskiego (własność hr. K. Potoc'kiego).



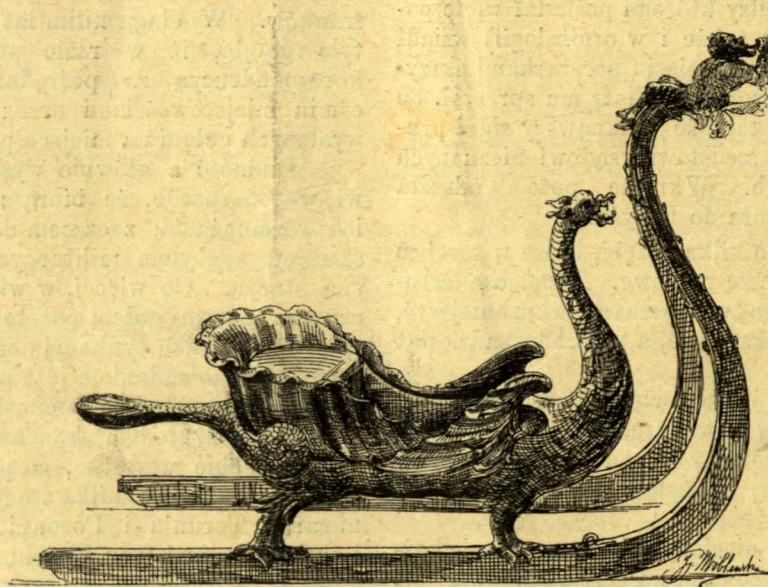
*J. Millar*



*J. Millar*

Pancerz i hełm kanclerza Jana Zamoyskiego (Zbiory Zamoyskich).

Fotel polowy Jana Sobieskiego (Zb. Zam.)



*J. Millar*

Sanie Stanisława Augusta (własność p. Urbańskiego).

Rysował J. Wróblewski.

WYSTAWA STAROŻYTNOŚCI W WARSZAWIE.



Zbrojownia Zamoyskich. — Husarz w całkowitej zbroi.

Srebrne dzbany.—Obrazy dawnych mistrzów.—Popiersie damy z porcelany (bisquit.) styl Ludwika XVI.—Z téjże epoki zwierciadło.

Rysował J. Ryszkiewicz.